

Kamena

Rok założenia 1933

LUBLIN 15.II.1970 Nr 4 (437)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

Dom kultury czy szkoła bałaganu?

Piętnaście miesięcy wyrwanych z kalendarza

Jerzy Dostałni

BUDYNEK stoi w jednym z centralnych punktów nowych Puław — na wprost wyjścia z dworca kolejowego, naprzeciw dwóch przystanków PKS, na skrzyżowaniu dróg, wiodących do Warszawy i do Lublina. Nie imponuje wielkością, ale rzuca się w oczy nowoczesną sylwetką. W jednym dokumencie nazywa się dzielnicowym domem kultury przy ul. Sienkiewicza, w innym — domem kultury przy ul. Partyzantów 32, w protokole odbioru od budowlanych ochrzczone go ośrodkiem świetlicowo-widowskim. Wciąż jednak chodzi o ten sam obiekt kulturalny, w którym przez 15 miesięcy nic się nie działo, jeżeli nie liczyć przejściowego zainstalowania się najpierw komisji poborowej, potem komisji wyborczej.

Stwierdzenie, że nic się tam nie działo, odnosi się do faktu, że jest to obiekt kulturalny i nic się tam nie działo z dziedziny kultury. Działo się natomiast w innych dziedzinach i to tak dużo, że sprawa urosła do rozmiarów skandalu, którym teraz zajmuje się Najwyższa Izba Kontroli, a w niedalekiej przyszłości zapewne i prokurator...

Ale od początku. Otóż w związku z budową Zakładów Azotowych w Puławach na tzw. inwestycje towarzyszące przeznaczono półtora miliarda złotych. W tej olbrzymiej sumie znalazło się też trochę pieniędzy na kulturę. Najpierw wybudowano budynek dla Biblioteki Powiatowej i Miejskiej, odremontowano inny dla ogniska muzycznego, wreszcie w drugiej połowie 1967 r. rozpoczęto prace przy owym domu kultury.

Obiekty kulturalne w rosnących jak na drożdżach Puławach były niezwykle potrzebne. W mieście znajdowało się już wtedy prawie 20 tys. nowych mieszkańców z miast i wsi całej Polski, fachowców i niebieskich ptaków, ludzi spokojnych i awanturników, dopiero startujących do życia i już mających za sobą bogate, nie zawsze najlepsze doświadczenia życiowe. Wszystko smażyło się w tyglu różnych nadmiarów

i niedostatków, prawdziwych i fałszywych ambicji, charakterów gwałtownych i spokojnych.

Wiadomo nie od dziś, że obok wielu innych czynników integracji jednym z głównych jest najpierw rozbudzenie, a potem zaspokajanie potrzeb kulturalnych ludzi. Dyrektor Zakładów Azotowych, mgr inż. M. Kłodziej, stał się entuzjastą budowy wielkiego a wspólnego Domu Chemika. Rzecz jednak była kosztowna i wskutek tego tzw. poślizgiem przesuwano się z jednego planu rocznego do drugiego i dopiero całkiem niedawno rozpoczęto wreszcie jego budowę. Środkami zastępczymi były świetlice w hotelach robotniczych, potem biblioteka i różne zespoły.

W mieście jednak poza dawnymi placówkami nic nowego się nie działo. Więc gdzieś w połowie 1966 roku na szczytach władz powiatowych dogadano się, aby z wpływów za tzw. partycypację przedsiębiorstw wybudować ów dom kultury. 11 sierpnia Prezydium PRN podjęło odpowiednią uchwałę, przeznaczając na to półtora miliona złotych od Zakładów Azotowych, drugie półtora od Puławskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa (dziś „Chemobudowa”) i końcówkę 287,2 tys. zł z budżetu MRN w Puławach.

W następnym roku budowa ruszyła w zupełnie przyzwolonym tempie i 30 września 1968 roku budynek został przekazany użytkownikowi. I tu właśnie zaczęły się najpierw kłopoty, a potem wybuchł skandal. Chodziło bowiem o to, kto jest użytkownikiem tego budynku, a więc kto ma tam prowadzić robotę kulturalną, mając oczywiście do dyspozycji etat i środki materialne. Okazało się niebawem, że takiego nie było i to przez całe następne 15 miesięcy.

A wszystko zaczęło się od owej uchwały Prezydium PRN z sierpnia 1966 r., której wykonanie „porucza się Powiatowej Komisji Planowania Gospodarczego, Dyrekcji Inwestycji Miejskich i Miejskiej Radzie Narodowej — każdemu we własnym zakresie”. Co oznacza ten „własny zakres”? PKPG uważała — chyba słusznie — że jej rola skończyła się z chwilą wpro-

Dokończenie na str. 7

Tropem ludzi majora Hubala

Podzwonne dla księdza Muchy

Mirosław Derecki

BIEDNY ksiądz Mucha! I historia i literatura obeszły się z nim okrutnie. Wystarczył moment słabości, chwila nieuwagi, aby w dziejach polskiego ruchu oporu zapisał się jako jedna z najbardziej tragicomicznych postaci. Podczas szarży na nieprzyjaciela — zastrzelę nie chcąc własnego konia! Co za rozkosz dla gawędziarza, jaki temat dla literata... Gdyby zaliczał się do zwykłej żołnierskiej społeczności, może tylko kawalerzyści nie dali by mu dyspensy. Ale nieszczęściem Muchy był fakt, że mundur żołnierza nosił na zmianę z czarnym strojem „katabasa”.

Na domiar złego było mu sądzone rozchorować się z trudów wojennych, dostać szoku nerwowego. W takim stanie nie nadawał się do dalszej walki, musiał rozstać się z Oddziałem Wydzielonym. Gdy odszedł, zaczęła wokół niego narastać legenda. Ale nie taka, o jakiej marzą kandydaci na bohaterów.

Po latach doskonały pisarz i reporter, zafascynowany postacią księdza Muchy, każe mu stanąć w jednym szeregu z bohaterami opowieści pana Zagłoby w chreptliwej strażnicy, zaś najbardziej tra-

giczny moment życia księdza przedstawił w sposób niezwykle sugestywny i... bezpardonowy: „okazało się, że przesilił ducha, który starał się nieść w ciele zbyt kruchym i trwożliwym. Tuląc się w kącie, zgięty w pół, rzuca przerażonym wzrokiem: -C-i-i-c-h-o!... Idą już... Idą!... Biedny filipin, miotany sprzecznym uczuciem uwielbienia dla tych krwawych centaurów z rżeniem końskim miotających granaty i równocześnie serdecznej troski, że czeka ich smola i ogień wieczysty. Biedny, bohaterki, z duszą dziecka gotową do uwielbienia, z duszą świętego otwartą na dobro, nic nie wiedzący o świecie i sprawach jego, praktykujący ten świat od razu i bez przygotowania w atmosferze mord, tłustego słowa żołnierskiego, kurt, wódki i nieustannego lamania piątego przykazania, a wraz z nim wszystkich innych dziewięciu (...) nie ma już księdza Muchy, duch jego już gdzieś błędzi zdając niewiadomy rachunek; ta żałostna reszta, co się trzęsie w kącie, to sam nazbierany, skondensowany strach, który został”.

Dokończenie na str. 6-7

Coś skrzypią w środku

Minione dziesięciolecie plastyki polskiej ujawniło kilka zagadnień i zjawisk o istotnym znaczeniu dla aktualnych i przyszłych jej losów. Zarysowały się one na różnych płaszczyznach i piętrach życia sztuki, występując mocno również w maszynierii organizacyjnej. Doceniając znaczenie tej ostatniej dla prawidłowego rozwoju współczesnego życia artystycznego, warto przypatrzeć się tym momentom, które determinowały jej funkcjonowanie, nie tracąc przecież z pola uwagi problemów czysto artystycznych. Ocenie i charakterystyce wybranych zjawisk poświęcona jest publikowana treść rozmowy, którą przeprowadził z krytykiem sztuki i szefem wrocławskiej galerii „Pod Moną Lisą”, niegdyś przywódcą ideowo-artystycznym lubelskiej grupy „Zamek” i redaktorem „Struktur”, dodatku plastycznego „Kamena” w 1959 r. — Jerzym Ludwińskim.

Ireneusz J. Kamiński: — Na wstępie, żeby krwi sobie wzajemnie nie psuć, zwróćmy uwagę na wartości pozytywne wiadomej dekady, które możemy odnaleźć w odpowiedzi na pytanie: co animowało polski ruch artystyczny w latach 1960-69? Sądzę, że na pierwszym miejscu należy tu wymienić galerie sztuki.

Jerzy Ludwiński: — Jest to dla mnie rzecz jasna. Cały ruch artystyczny, zarówno w Polsce jak i na świecie, zawdzięczamy galeriom, galeriom nieoficjalnym, które de-

monstrują sztukę na własną odpowiedzialność.

I. J. K.: — Galerie są niewielkie i nieliczne, a ZPAP liczy ponad 7000 członków...

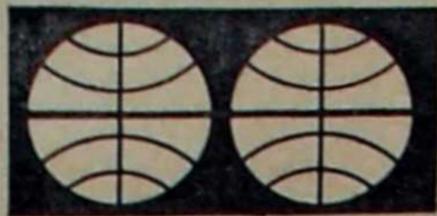
J. L.: — Wszyscy mogą wystawić w salonach oficjalnych, takich jak Biura Wystaw Artystycznych, prezentując plastykę na zasadzie kolejności zgłoszeń. Galerie nieofi-

Dokończenie na str. 3



Teatr UMCS „Gong-2”. „Wyznania mordercy” wg scenariusza Andrzeja Rozhina. Na zdjęciu Kongo-Müller (Kazimierz Bryki). Fot. A. Polakowski

Na str. 8 drukujemy recenzję M. Behczy-Rudnickiej z tego spektaklu.



Mysliwiec zdrozala 125-krotnie

Zmarli

Doc. dr Franciszek Pajackowski, współorganizator wrocławskiego Ossolonia, pionier kultury na Dolnym Śląsku, autor wielu prac naukowych, wieloletni dyrektor Biblioteki Zakładu im. Ossolińskich.

Literatura

W Łodzi odbyły się obrady Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Omawiano problemy świata pracy w polskiej literaturze współczesnej.

Muzyka

W auli Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu odbył się koncert galowy chóru i orkiestry Filharmonii Poznańskiej z okazji jubileuszu 20-lecia pracy artystycznej Stefana Stuligrosza.

Film

W tym roku polska kinematografia realizuje 25 filmów fabularnych (w roku ub. 21).

Różne

„Czytelnik” zapowiada trzy bardzo ciekawe pozycje: „Ucieczka od wolności” Ericha Fromma (analiza faszyzmu ze stanowiska psychologii społecznej).

Teatr

Mimo nagrody Nobla sztuka Becketta „Czekając na Godota” robi kłopot w teatrach prowincjonalnych Francji.

Sztuka

Jak stwierdzono we Francji wśród osób zwiedzających muzea, 62 proc. stanowią urzędnicy, 3 proc. rzemieślnicy i kupcy.

W Monachium wystawiono sztukę „The narrow road to the deep north” autora angielskiego Edwarda Bonda.

W Białymostku pod Warszawą znaleziono grobowiec z przelomu III-IV w. przed naszą erą.

Ponad 250 plastyków, a więc ponad połowa plastyków mieszkających w Łodzi, związana jest różnymi formami współpracy z tamtejszym przemysłem.

Krynek Starożytności w Olsztynie został podczas wojny niemal całkowicie zniszczony. Obecnie rozpoczęto odbudowę ostatniej już kamieniczki.



Amerikanin Joe Russillo i Francuzka Claire Sombert w scenie z baletu telewizyjnego „Ballets-Ensemble”, nagranego dla telewizji francuskiej.

NIE mogłem wówczas — podczas spotkania lektorskiego w Kramieckiej Fabryce Wyrobów Metalowych — odnaleźć tych danych, które jakże wymownie charakteryzują koszty dzisiejszych zbrojeń.

I oto dane się znalazły. Cytuję za trzecim tegorocznym numerem „Nowych Czasów”.

Lotniskowiec w okresie drugiej wojny światowej kosztował 53 mln dolarów, dzisiejszy lotniskowiec — 545 mln dolarów. Cena ówczesnego torpedowca wynosiła 8,7 mln dolarów, dzisiejszego — 200 mln dolarów.

Francuski tygodnik „L'Express” pisał niedawno: W dniu 1 stycznia 1970 r. ludzkość wkroczyła w 25 rok ery Hirozimy. W arsenalach broni, w czeluściach samolotów i okrętów podwodnych kryją się siły, stanowiące równoważność 300 mld ton materiałów wybuchowych.

W tym roku będziemy właśnie obchodzić ćwierćwiecze zakończenia drugiej wojny światowej. W tym czasie nie toczyły się wprawdzie działania wojenne na skale światowej, ale okres ten bynajmniej nie był dla świata sielanką.

„Nowe Czasy” przypominają wojny i operacje wojenne, które toczyły mocarstwa imperialistyczne celem zachowania swego neokolonialistycznego panowania: Francja przeciw Laosowi i Kambodży (1945—1954); Francja przeciw Wietnamowi (1946—1954); Anglia przeciw Omanowi i Adenowi (od 1946); Francja przeciw Madagaskarowi (1947); Anglia przeciw Malajom (1948—1954); USA przeciw ruchowi narodowowyzwoleńczemu na Filipinach (1946—1951); RPA przeciw Afryce Południowo-Zachodniej (1949); USA przeciw Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej (1950—1953); Holandia przeciw Indonezji (1945—1949); Anglia przeciw Kenii (1952—1954); USA przeciw Gwatemali (1954); Francja przeciw Algierii (1954—1962); USA przeciw Laosowi (od 1954 do chwili obecnej); Anglia przeciw Cypru (1955—1959); Francja przeciw Tunezji (1956—1958); Anglia, Francja, Izrael przeciw Egiptowi (1956); USA, Anglia przeciw Jordanii (1958); USA przeciw Libanowi (1958); USA przeciw Chinom (Cieśnina Tajwańska) (1958); USA przeciw Panamie (1959); Anglia przeciw Niasie (1959); Akcje kilku państw imperialistycznych przeciw Kongu (1960—1962); USA przeciw NFW w Wietnamie Południowym (od 1960 do chwili obecnej); USA przeciw Kuby (1961); Portugalia przeciw Angoli (od 1961 do chwili obecnej); Francja przeciw Tunezji (1961—1963); USA przeciw Kuby (kryzys w basenie Morza Karaibskiego) (1962); Portugalia przeciw Gwinei (od 1962 do chwili obecnej); USA przeciw Panamie (1964); Portugalia przeciw Mozambikowi (od 1964 do chwili obecnej); USA przeciw Demokratycznej Republice Wietnamu (od 1965); USA przeciw Republice Dominikańskiej (1965); Izrael przeciw krajom arabskim (1967); Anglia przeciw Anguilli (1969).

W sumie — 34 wojny i operacje wojenne, a przecież wykaz ten nie obejmuje działań, w które mocarstwa imperialistyczne nie były — przynajmniej bezpośrednio — włączone. Mam tu na myśli chociażby kon-

flikt między Indiami a Pakistanem czy też Hondurasem i Salwadorem.

A jednak obraz 25-lecia trzeba trochę rozjaśnić. W 18 lat po wybuchu bomb atomowych w Hirozimie Nagasaki narodził się traktat o częściowym zakazie doświadczeń nuklearnych, a jeszcze pięć lat później — traktat o nierozprzestrzenianiu tej najgroźniejszej broni. W 1969 r. rozpoczął się między ZSRR a USA dialog na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych.

W przygotowaniu jest nowy traktat o niewykorzystywaniu dna morskiego dla celów wojskowych.

Człowiek, który ciągle nie umie urządzić sobie życia na Ziemi, postawił nogę na Księgę. W rozwoju ludzkości został zapoczątkowany nowy etap.

Niestety, zbyt wielu powodów do optymizmu nie mamy. Billiardy idą na zbrojenia, nowsza broń wypiera dawną, a wiele ludzi umiera po prostu z głodu. Tylko w ostatnim dziesięcioleciu zginęło w ten sposób ok. 100 milionów ludzi, trzykrotnie tyle, ile mieszka w Polsce. Zdaniem U Thanta problem wyżywienia ludności świata jest tak samo groźny, jak groźne jest zniszczenie świata przez nuklearną zawieruchę.

Co będzie jutro? Przewiduje się, że w latach 1970—1980 światu przybędzie więcej mieszkańców niż w ciągu 1350 lat nowej ery. W 1980 r. jedno tylko Chiny będą mieć więcej mieszkańców niż miała cała kula ziemiska przed wiekiem. Bardzo bym chciał, aby się mylił znawca problematyki wojennej, prof. G. Boutouh, który powiedział przedstawicielowi redakcji francuskiego tygodnika „L'Express”, że jest jakas nader niepokojąca zbieżność w tej równoczesnej eksplozji demograficznej z wynalezieniem broni jądrowej.

W każdym razie konflikt między krajami bogatymi a biednymi stale się pogłębia. Kolonializm przebrany w szaty neokolonializmu nie rezygnuje z dawniejszych zdobyczy. Zmieniają się formy rządzenia, metody wyzysku, a ludzie poza garstką uprzywilejowanych jak cierpieli, tak i cierpią.

Rok 1970 nie zaczął się pod najszczęśliwszą gwiazdą. Zaostrzyła się sytuacja na Bliskim Wschodzie. Samoloty izraelskie wzmożyły swoją działalność nad terytorium Egiptu. Na Zachodzie rozprawia się o możliwości „stuletniej wojny” między Izraelem a krajami arabskimi. W Wietnamie — wzrost agresywnych działań amerykańskich. Jaśniejszy jest może nieco horyzont w Europie, ale i tu jeszcze mimo przeżytków pewnego realizmu w NRF zbyt jeszcze wiele czai się raf, zbyt wiele spraw jest płynnych i niedopowiedzianych.

Ludzie są niecierpliwi. W czasie spotkań lektorskich chcieliby otrzymać konkretną, zdecydowaną odpowiedź. Nie wszystkie jednak, niestety, pytania można wyczerpująco potraktować. Bo lektor nie jest Pytią, przedstawia fakt i co najwyżej może snuć ostrożne, bardzo ostrożne horoskopy, biorąc je na własny rachunek. Trudno nawet podeprzeć się niekiedy cytatem z przemówienia wybitnego męża stanu. Mężowie stanu też są śmiertelni, a ludzkość pozostaje ze swymi problemami, których pakiet stale się powiększa.

I na to już żadnej rady, niestety, nie ma. I nie ma lekarza, który by mógł dla chorego świata wypisać odpowiednią receptę.

MAJ

Spotkania „Kamieny”

Red. Mirosław Derecki w klubie „Lubgału” w Lublinie mówił o współczesnej młodzieży angielskiej.

Red. Ireneusz J. Kamiński w klubie studenckim „Arcus” wygłosił prelekcję pt. „Sztuka dziś, co to jest?”, w Państwowym Liceum Plastycznym w Lublinie omówił współczesne tendencje plastyczne, zaś w klubie osiedlowym „Kolejara” na Kalinowszczyźnie miał odczyt pt. „Kim jest artysta?”

Red. Romuald Wiśniewski w klubie pracowników Prez. MRN w Ratuszu, przed filmem „Zemsta OAS” mówił o genezie powstania tej organizacji, w Liceum Ogólnokształcącym w Kazimierzu nad Wisłą przedstawił problemy Polaków zamieszkanych za granicą, zaś w Klubie Międzyzakończym w Kazimierzu poprowadził dyskusję o zadaniach podstawowych placówek kulturalnych.

(y)

NUMER 12 (grudniowy) kijowskiego miesięcznika literackiego „Witczyzna” zawiera szereg interesujących materiałów. Poemat Mykoły Bażana „SIL” (Sól) dotyczy okresu wojny domowej na Ukrainie 1917—1928. Autor poematu, znany ze swoich sympatii do Polski i jej kultury (przynajmniej chociażby jego cykl wierszy „Mickiewicz w Odesie”), opisał tu wspólne zainteresowania historią nauczyciela i dwóch jego uczniów: Ukraińca i Polaka Janka Chmielewskiego, mieszkających w okolicach Humania.

Kilka wierszy z cyklu satyrowanego „Z chotodnoj baiki” amieszcza Mykoła Winbranowski. Poeta należy do tych, którzy wystąpili ze swoją twórczością 18 lat temu (I. Dracz, W. Korotycz i in.), wnieśli do poezji ukraińskiej nowe treści i formy, w dużej mierze ją ożywił i podnieśli jej autorytet wśród czytelnika współczesnego. Wokół tych poetów i reprezentowanej przez nich poezji toczyła się wtedy duża i bardzo kontrowersyjna dyskusja. Wiele mówiło się również o poezji M. Winbranowskiego. Ci, którzy zrozumieć potrafią nowego wiewu w poezji i bronili jej przed „oportunistami” czy „dogmatykami”, mieli na pewno rację. Poeci ci wciąż rosną i przedstawiają w osobnych zbiorach czy w czasopiśmie coraz dojrzałsze utwory. Do takich należą również drukowane tu cykl M. Winbranowskiego.

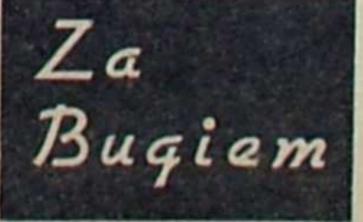
Pawło Zahrebelnyj, jeden z najbardziej interesujących obecnie prozaików ukraińskich, kończy w tym numerze

O. Diaconko drukuje esej literaturoznawczy pt. „Siła prawdziwego słowa”, gdzie omawia ukraińską prozę na temat ostatniej wojny światowej. Ta tematyka do dziś dnia jest ciągle żywo wykorzystywana. Autor w rozwoju tego tematu widzi trzy okresy. Pierwszy — to wojna (1941—1945), kiedy pisarze ukraińscy, jak też inni radzieccy, notowali na gorąco przykłady bohaterstwa i wyślaków żołnierzy w walce przeciwko agresorowi faszystowskiemu; były to na ogół małe formy literackie, dziś mają one bardzo ważne znaczenie dokumentalne. Nie było wtedy czasu na cytowanie formy czy pogłębianie charakterów. Drugi okres to pierwsze dziesięć lat po wojnie do XX Zjazdu KPZR. Pisarze dążyli do „głębszego uogólnienia tych wypadków historycznych o wielkim znaczeniu w świecie”. Wtedy „pisarze stosowali małe emocjonalno-illustracyjne w przedstawieniu rzeczywistości, dochodząc do stwierdzeń analitycznych, stosowali uogólnienia społeczno-historyczne i filozoficzne”. I wreszcie w trzecim (po XX Zjeździe KPZR) pisarze mają możliwość bardziej obiektywnego przedstawiania pełniejszej prawdy o wojnie i ludziach. W trzecim okresie na temat ostatniej wojny w tym okresie, który rozpoczyna Oles Honczar swa powieścią „Ludność i zbroja” (w polskim tłumaczeniu „Człowiek i broń”), pogłębiona jest również psychologia bohatera. Przykładem tego twórczość wielu prozaików ukraińskich, z których część znana jest również czytelnikowi polskiemu.

Warto zwrócić uwagę na opowiadanie Wołodymyra Chyżniaka pt. „Czornohuz” (Hociany), gdzie dość dokładnie

opisuje zaobserwowane zwyczajnie boćlanów gnieżdżących się na budynkach wiejskich. Przy okazji jakoby przedstawione są również smisy w tyru ludzi. Warto przytoczyć tu charakterystyczne zdanie: „Ludziom z roku na rok coraz lepiej, coraz lepiej, a boćlanom coraz gorzej”.

M. Ł.



FRAGMENT wyjaśnił poszkodowanego: w dniu... w Lublinie miałem urlop, udałem się ze znajomym... na górki przy ul... tam wypiłem obaj jedną ćwiartkę wódki gatunkowej. Po wypiciu tej wódki było ciepło, więc zasnąłem, ja i on.

Jak tu zasnąć we dwu po wypieniu jednej ćwiartki wódki gatunkowej? Faktem jest w każdym razie, że gdy zasnął, chłopak ściągnął im zegarki wartości około 700 zł każdy. Ludzie często sami, przez rzywką nieroztropność, „inspirują” przestępstwo. Ale nie o tym będzie mowa.

Fragment zeznania podejrzanego: odpiłem jednemu osobnikowi i drugiemu zegarki marki „Poljoty”. Tego samego dnia udałem się na targowisko przy ul... i tam sprze-

krajowej wolno wzrastało. Dopiero w roku 1968 można odnotować spadek (również w lubelskim — z 1770 na 1840 nieletnich skazanych), co — oczywiście — mówi o skuteczności środków zaradczych, jakie w tej dziedzinie przedsięwzięto. Właśnie na konieczność tych środków zwróciła uwagę Uchwała V Zjazdu PZPR: Za zadanie wielkiej wagi społecznej uważa należy zapobieganie i przeciwdziałanie występującym wśród części młodzieży przejawom demoralizacji i przestępczości. Bowiem jeśli nawet cała kwestia stanowi margines społeczny, to nie kontrolowana może stać się społecznym problemem.

Mówiąc „margines społeczny”, nie myślę bynajmniej o środowiskach czy sytuacjach ludzkich, z jakimi potoczna opinia wiąże przyczynny zaniedbania moralnego i przestępczości nieletnich — rodziny alko-

Coś skrzypi w środku

Dokończenie ze str. 1

cyjne są miejscem dla tych artystów, którzy rzeczywiście coś proponują.

I. J. K.: — Charakterystyczne, że zarówno BWA jak i owe galerie są placówkami państwowymi...

J.L.: — No tak, ale nigdy nie powiedziałbym „galeria PUPIK „Ruch” przy Teatrze Wielkim w Warszawie”... Wszyscy mówimy „galeria Boguckich”. Ranga i profil galerii zależą od konkretnych indywidualności nimi kierujących, jak i zresztą każde sensowne działanie na terenie sztuki. Z tego chyba źródła wylania się głęboka sprzeczność interesów galerii i ZPAP, którego każdy członek jest potencjalnym artystą.

I. J. K.: — Dla porządku wymieńmy galerie z ambicjami, niekonformistyczne.

J. L.: — Niewątpliwie najlepszą, moim zdaniem, galerią, prezentującą najciekawsze zjawiska sztuki dzisiejszej, jest „Foksal” w Warszawie, sterowana przez Hannę Ptaszkowską i Wiesława Borowskiego. W kolejności widzę „Galerię Współczesną” Marii i Janusza Boguckich. Dokonania poznańskiej galerii „Od Nowa” każą mi unieść ją w tym rejestrze, choć niedawno przestała ona istnieć; jej kierownikiem był Andrzej Matuszewski. Największą tradycję wśród czołowych galerii posiadają krakowskie „Krzysztofor” i „Grupa Krakowska”. Z mniejszych warto postawić na rozpoczynający dopiero swój żywot lubelski „Labyrinth”.

I. J. K.: — Proszę pozwolić, że uzupełnię ten wykaz o wrocławską galerię „Pod Moną Lizą”, założoną w 1967 r... Innym znaczącym zjawiskiem dziełocielecia był urodził na przetrzecie pleneru, sympozja i tym podobne spotkania artystyczne. Początek dały koszańskie Osieki, no a potem zaczęła się lawina, która zasypane do dziś bogu ducha winne powiaty i województwa, nie wiadomo czego więcej przynosząc — szkody czy pożytki. Bo co na przykład zostało się z twórczej idei Osiek?

J. L.: — No właśnie. Plenery znakomicie eksponują konflikt między ZPAP a ludźmi zaangażowanymi w sprawę sztuki. Osieki, bezdyskusyjnie zasługa Fedorowiczów, miejsce do myślenia i autentycznego działania twórczego, racjonalnie początkowo programowany obszar wymiany informacji o tym wszystkim, zostały przejęte przez ZPAP i odbijają się — według mnie — na wątpliwej wartości zasadach. Na przykład trudności z ustaleniem kryteriów uczestnictwa w plenerze rozwiązano w ten sposób, że zaproszono na laureatów przetrzecie nagród plastycznych. Na inny plener zaproszono prezesów i wiceprezesów zarządów okręgów ZPAP... A początkowo Osieki skupiały najwybitniejszych artystów w Polsce, dynamicznie nawiązując sztukę. Podobną rolę spełniło Biennale Form Przestrzennych w Elblągu oraz i Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców w Puławach...

I. J. K.: — Które wbrew zapowiedziom nie jest kontynuowane. Dlaczego? Słowem wartościowe sympozja i plenery, poza zielonogórskimi, albo zamarty po jednorazowej eksplozji, albo się zdeprecjonowały za sprawą takich czy innych decyzji organizacyjnych. Co nie przeszkadza, że co rusz rodzą się w kraju plenery-karzeki...

J. L.: — W Polsce odbywa się rocznie kilkadziesiąt plenerów, uruchamianych przede wszystkim przez Związek. W ubiegłym roku sam otrzymałem spory pakiet zaproszeń na takie spotkania. W tych, które wybrałem, uczestniczyłem na zasadzie turysty, kierującego się atrakcyjnością miejscowości, jej walorami pejzażowo-ludycznymi. Dlatego, bo inne kryteria udziału nie wchodziły w ogóle w rachubę, nie podsuwał ich program, a właściwie brak sensownego programu tych imprez. Na jednym z takich plenerów pewien starszy malarz — marynistą namalował jeden obraz, przedstawiający morze z mewami. Był to jeden jedyny obraz, jaki powstał na owym plenerze; pozostali plastycy nadesłali prace po plenerze. Tam kompletnie nie się nie działo, było natomiast morze ze słoneczną plażą, inne atrakcje — był to plener zorganizowany przez ZPAP. Nie możemy jednak zapominać, że plenery czy sympozja w Osiekach (dawniej), Elblągu i Puławach okazały się słupami milowymi polskiego ruchu artystycznego. Na przykład w Puławach w 1966 r. działy się rzeczy decydujące dla późniejszej sytuacji w naszej sztuce, ujawniło się ogromne zróżnicowanie postaw twórczych...

I. J. K.: — Czy to zróżnicowanie było odbiciem aktualnego stanu krajowej sztuki?

J. L.: — Myślę, że tak. W Puławach poza nielicznymi wyjątkami zebrali się najlepsi artyści, którzy pokazali to, na co sztukę polską stać. Puławy są ważne również i z tego względu, że gospodarz symposium — „Azoty” — dostarczył artystom niedostępnych dla nich do tego momentu środków technicznych. Ponadto tam właśnie profesor Mieczysław Porębski powiedział całą teorię metakrytyki, uwzględniającej w badaniach dzieł sztuki metody z obszaru teorii informacji, matematyki, a galeria „Foksal” wystąpiła z tzw. teorią mięsca.

I. J. K.: — Uczestnicząc w kilku dyskusjach puławskich z udziałem artystów i wybitnych naukowców o specjalizacjach przyrodniczych, uzyskałem kolejne potwierdzenie prawdy chyba niewątpliwej, że zbieżność metodologiczna rozwoju współczesnej myśli estetycznej i — ogólnie rzecz biorąc — nauk przyrodniczych jest nieprzypadkowa. Onie strony angażują dziś do rozwiązywania pozornie odległych problemów podobny zespół narzędzi metodologicznych.

J. L.: — Jeśli o tym mówimy: dialog Tadeusza Kantora z profesorem Listowskim, wybitnym biologiem, członkiem PAN-u, przeszedł na pewno do historii sztuki polskiej jako dowód głębokiej wspólnoty świadomości i mentalności malarza oraz przyrodnika, którzy posługując się odmiennym twórczym, reprezentują ten sam typ widzenia świata i jego problematyki.

I. J. K.: — A program Galerii „Foksal”, wygłoszony przez Wiesława Borowskiego, Hannę Ptaszkowską i Mariusza Tchorka — to także, jak sądzę, fakt doniosły dla sztuki, może nie tylko naszej...

J. L.: — Oczywiście. Teoria ta przekreślała sens istnienia tradycyjnej sali wystawowej, wykraczała w swym wątku ideowym poza nią, także poza wernisaż.

I. J. K.: — No tak, ale u nas w dalszym ciągu wystawa kojarzy się z wernisażem, z towarzysząca fetą.

J. L.: — To prawda. Wystawy oglądają tylko profesjonalści. Chociaż... U mnie, w galerii, na dyskusję przybyła kiedyś cała drużyna bokserska wrocławskiej „Gwardii” z jednym wiceministrami olimpijskim i dwoma wiceministrami Polski.

I. J. K.: — Efektowna egzemplifikacja ale chyba nie mająca nic wspólnego z naszą codziennością plastyczną. Przejdmy jednak do innej sprawy, mocno związanej z Lublinem końca lat pięćdziesiątych. Wtedy właśnie na polskim gruncie powstała sztuka strukturalna, zjawisko w pełni samorodne, lecz chyba niedocenione.

J. L.: — Przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych był rzeczywiście wspaniałym okresem w sztuce polskiej. Wtedy właśnie ogromną rolę odegrał Lublin. Artyści, którzy tu działali, zainicjowali równoległe i niezależnie od podobnych poczynań na zachodzie Europy, choćby Hiszpana Antonio Tapiasa i Włocha Alberto Burriego, sztukę strukturalną.

I. J. K.: — Czyli zaczęli organizować mgławicowe, rozproszone i jakoś anonimowe powierzone informelowych obrazów w zwarte, czasami reliefowe struktury. Pierwsi uświadomili sobie jawność kontynuacji informelu.

J. L.: — Trzeba dodać, że Włodzimierz Borowski, Tytus Dzieduszycki i Jan Ziemiński, członkowie „Zamku”, innymi drogami doszli do koncepcji sztuki strukturalnej, niż to stało się udziałem artystów zachodnich. Powiem, że był to jeden z najbardziej autentycznych ruchów artystycznych, jaki się w Polsce po wojennej pojawił. Dowodem drugorzędym, ale charakterystycznym dla aktualności idei sformułowanej przez „Zamek”, może być fakt akcesu do grupy artystów z innych miast: Beksińskiego z Sanoka, Z. Makowskiego i Kierzkowskiego z Warszawy i Piaseckiego z Krakowa. W ostatniej, „strukturalnej” fazie „Zamek” przekształcił się w grupę ogólnopolską.

I. J. K.: — Ale początkowo, w momencie powstania „Zamku” w 1956 r., należeli doń jeszcze inni malarze, o których dziś już nie słychać. Co oni robili?

J. L.: — Szczęśliwie przeżył w Szczecinie, gdzie prowadzi bardzo interesujące pantomimiczne Studio Miniatur, inni nadal malują...

I. J. K.: — Co i jak?

J. L.: — Pewne obrazy, które nie mają nic wspólnego z ideami grupy „Zamek”.

I. J. K.: — Czy dyrektywy „Zamku” zostały później podjęte przez plastyków polską? Wydaje mi się, że sztuka strukturalna rozwijała się u nas w oparciu o inny model.

J. L.: — Tak, to charakterystyczne dla sztuki polskiej i jednocześnie bardzo bolesne. Inicjatywy sztuki strukturalnej ze strony „Zamku” zostały w Polsce nie zauważone, nastąpiła natomiast inwazja tej sztuki według wzorca zachodniego, przede

wszystkim hiszpańskiego. Na tony zaczęto produkować przeróżne reliefy, tableaux-objets...

I. J. K.: — Środowisko lubelskie nie wyciągnęło właściwych wniosków nawet z samego faktu istnienia „Zamku”.

J. L.: — Wiem jedno: jak kiedyś Lublin był jednym z centrów sztuki krajowej, o które każdy krytyk musiał zawiązać przynajmniej raz w miesiącu, tak w latach sześćdziesiątych przestano tu przyjeżdżać.

I. J. K.: — W latach sześćdziesiątych sztuka strukturalna straciła przeciwko swojej żywotność. Pojawiły się tendencje figuratywne w odmianach pop-artu i „nowej figuracji”, szeroko rozwinięty się wizałizm, sztuka konstrukcyjna oraz happening i minimal-art. Pierwsze trzy orientacje docekiwały się zwolenników także w Lublinie.

J. L.: — Gdyby Włodzimierz Borowski nie opuścił Lublina, miałoby być i happening, do tego w formie dotąd nie znanej. Przy tej okazji nasuwa mi się kolejna niewesoła refleksja. Otóż poza Kantorem, który choć w różny sposób niszczone, jest przecież doceniany, działają w Polsce twórcy happeningów całkowicie niemal przemilczani, aczkolwiek nie ulega dla mnie kwestii, że wnoszą oni istotne wartości do sztuki europejskiej. Mam na myśli właśnie Włodzimierza Borowskiego i Andrzeja Matuszewskiego.

I. J. K.: — Odkładając na bok inne, nasuwające się problemy, nie sposób pominąć tu milczeniem faktu, że w jury wystaw krajowych rzadko zasiadają krytycy sztuki, co przynosi szkody nawet natury społecznej.

J. L.: — Powiedzmy wprost, że hierarchię sztuki polskiej ustala się zbyt często na szczeblu administracyjnym. Skąd się wziął termin „jury gabinetowe”, jeśli nie z tej anomalii właśnie!

I. J. K.: — Kto decyduje o zakupach obrazów czy rezb z wystaw, także o kręgowych? Komisje zakupów, w których skład wchodzi przedstawiciele administracji kulturalnej, prezisi ZPAP i inni oficjele.

J. L.: — Ktorzy kupują rzeczy najbardziej banalne...

I. J. K.: — a które później zalegają magazyny muzealne tworząc katakumby sztuki przypominające o: zmarnowanych pieniądzach społecznych, o wadliwej organizacji obiegu dzieł sztuki. Jesteśmy jedynym krajem, gdzie krytycy nie mają nic do powiedzenia o sztuce, aczkolwiek najwięcej o niej mówią.

J. L.: — Miejmy jednak nadzieję, że symposium „Złotego Grona” w Zielonej Górze oraz będące w stadium organizacji wielkie symposium we Wrocławiu, przygotowane z okazji ćwierćwiecza powrotu Ziemi Zachodnich i Północnych do Polski, sygnalizują zasadnicze zmiany w kwestii udziału krytyków w faktycznym i przynoszącym rezultaty wartościowaniu polskiej sztuki współczesnej. Treść artystyczna tych dwóch wydarzeń została zaprogramowana przy szerokiej pomocy krytyków.

I. J. K.: — Dziękując za udział w rozmowie, dyskusję nad zarysowanymi w jej toku problemami przychodzi uznać mi za otwartą.

Rozmowę zrelacjonował
 Ireneusz J. Kamiński

Stanisław Matys Na ratuszu

trzej królowie na kogutach
matka boża na cieliczce
tyle dzisiaj na ratuszu
jak na uczęcie
choć panna taka biała
od porodu brzuch ją boli
a tu burmistrz
bardzo czerstwy
chyba mąką świąt zasypie
ależ chleba
więc kogutem
pod dekretem gardia dorząnąc
a cieliczkę do masarni
tylko judasz kupi powróc
tylko piłat rozda gwoździe

Młodej parze

główkę maku
garść siemienia
wiadro dziegciu
mleka dzbanek
liść pokrzywy
kałuż brodę
ogon kozł
świeższędwoje
z całym sercem wam życzymy
my tu z wioski
sami stwoi
oto dary młodej parze

Kamena str. 3

Rodzice czy państwo?

Maciej Podgórski

dałem oba zegarki nie znamemu mi osobnikowi za 100 zł, czyli za dwa wzięłem 200 zł... Pieniądże za sprzedane zegarki straciłem na zakup biletów do kina i na zakup słodyczy i papierosów, lody, lemoniady, oraziadę. — Obecnie nie kradnę, nie pamiętam, kiedy ostatni raz kradłem — dodaje już jako oskarżony.

Chłopak ma 15 lat, a za sobą dwa wyroki sądu dla nieletnich — za ujawnione i udowodnione kradzieże tego typu dwa razy nadzór kuratora. Naukę przerwał w trzeciej klasie szkoły podstawowej. Repetował te klasy, wagarował. Nie pracuje. W domu bywa tylko w porze posiłków, a i to nie zawsze, często ucieka na kilka dni. Włóczy się po mieście głodny, więc kradnie. Pija wódkę. Jak wynika z wywiadu środowiskowego — warunki ma raczej przeciętne, nie za dobre, ale i nie najgorsze. Rodzice żyją, matka w domu, ojciec pracuje, lecz nie interesują się chłopcem. Za „Poljoty” dostał wyrok: umieszczenie w zakładzie poprawczym z zawieszaniem na dwa lata i zarazem nadzór kuratora. Jeszcze jedna próba środków wolnościowych. Chyba ostatnia.

Ten nieco „zsyntetyzowany” przez mnie przypadek ujawnia trudny problem zagrożenia moralnego i przestępczości nieletnich. Z miejsca jednak trzeba powiedzieć, że problem ów jest dla naszego kraju w kategoriach ilościowych sprawa marginalna w zestawieniu choćby z państwami zachodnimi. A już z pewnością jest marginalny dla województwa typu Lubelszczyzny. Jeśli idzie o wskaźnik nieletnich skazanych prawomocnie przez sądy powszechne, to dla Lubelszczyzny wynosi on za rok 1968—0,84 (na tysiąc mieszkańców), przeciętna krajowa zaś — 1,07, co łatwo wliczyć na podstawie „Rocznika statystycznego 1969”. Poniżej przeciętnej krajowej sytuacji są także m. in. rzeszowskie, kiełkie, białostockie. Wskaźniki wyższe niż przeciętna mają wszystkie miasta wydzielone z Wrocławiem (2,03) i Warszawą (1,63) na czele, a spośród województw m. in. szczecińskie (2,06), zielonogórskie (1,55), gdańskie (1,48), olsztyńskie (1,30).

Już to zestawienie pokazuje, iż ódrodkiem przestępczości nieletnich są duże skupiska miejskie, położone często na terenach, gdzie z różnych względów istnieje spory przepływ ludności (miejscowości wczasowej) lub stosunkowo krótka tradycja stabilizowania się środowisk ludzkich. Łącząc to można również z centrami przemysłowymi i traktować jako „uboczny produkt” procesów cywilizacyjnych, lecz tu miałbym już pewne wątpliwości. Jeszcze większy sprzeciw budzi wiązanie tej sprawy ze środowiskami robotniczymi. Katowickie na przykład — zagłębie przemysłowe i robotnicze — ma wskaźnik tylko 0,83.

Jak się rzekło, sprawa przestępczości nieletnich w naszym kraju, a szczególnie na Lubelszczyźnie, nie przedstawia szerokiego problemu społecznego, aczkolwiek w latach 1961—1967 samo zjawisko w skali

holików, małżeństwa rozbita itp. Oczywiście, w tym marginesie istnieje również... margines tego rodzaju, ale w znacznej większości przypadków sytuacja jest inna. Oto na Lubelszczyźnie w r. 1968 spośród nieletnich przestępców 78 proc. posiadało oboje rodziców, zaś 72 proc. uczyło się w szkołach. Może to mówić o niedostatkach wychowawczych w takich instytucjach jak rodzina i szkoła. Do tego zresztą wrócić...

Na razie trzeba by jeszcze wyłączyć kwestie trudności i przestępstw dzieci kalekich czy upośledzonych umysłowo. Też sprawa niełatwa, ale związana z odrębnym rodzajem środków zapobiegawczych, regulowana odrębnymi zarządzeniami i ustawami. Zostają więc nieletni mieszczący się w normie psycho-fizycznej, pochodzący z rodzin zewnętrznie przynajmniej ustabilizowanych, tzw. dzieci trudne.

Kłopoty rozpoczynają się w szkole, a wynikają często z braku zainteresowania rodziców, jak uczy się ich pociecha. Początkowo sprawki niby drobniejsze — dwójki, wagar, podrabianie podpisów w dzienniczku. Drugoroczność. Ucieczki z domu w strachu przed laniem, skąd już niedaleko do kradzieży, które stanowią około 80 proc. spraw rozpatrywanych przez sądy dla nieletnich. Większość tych spraw dotyczy repetentów szkolnych, ale tylko nieliczne dzieci upośledzonych umysłowo. Okazuje się, że — wedle rozpoznania sądu lubelskiego — szkoły, szczególnie w tzw. terenie i szczególnie podstawowe, nie zawsze na czas wychodzą narzeczom rodzicom i nie zawsze wiedzą, jak postępować wobec szczególnie rażącej drugoroczności dziecka (skierowania do przychodni specjalistycznej jako eliminacja przypadków upośledzenia umysłowego). Aczkolwiek w Kuratorium powiedziano mi, że wszyscy kierownicy szkół są poinformowani o możliwościach i zasadach postępowania w tych wypadkach. Indywidualizacja nauczania jest tu zabiegiem niezwykle ważnym, jeśli idzie o dzieci normalne, ale tzw. trudne.

Gdy zaś mowa o niedostatkach wychowawczych w rodzinach, to problem ma korzenie w ogóle w niedostatecznej wiedzy pedagogicznej społeczeństwa. 15 lipca 1961 roku Sejm uchwalił ustawę o rozwoju systemu oświaty i wychowania. Art. 9 § 1 tej ustawy brzmi: Nauka w szkole podstawowej jest obowiązkowa. Ale mimo przewidzianych urzędowo dość wysokich kar dla rodziców „opornych” zdarza się 17-latkowie z „wykształceniem” 2—3 klas szkoły podstawowej! O swoistym znieczuleniu ludzi na wybryki młodzieży szkoda już mówić. Wystarczy przeszacować się miejska ulica. A kto wie na przykład, że art. 572 § 1 kpc nakłada na każdego obywatela obowiązek informowania sądu dla nieletnich o przestępstwach podlegających kompetencjom tego sądu? Pedagogizacja społeczeństwa — jako przedsięwzięcie na szerszą skalę i

Dokończenie na str. 8

O problemach 50 tysięcy

mówi przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego ZMS w Lublinie

Kazimierz Gieron

— Cztery dni temu, 18 lutego, toczyły się obrady VII Wojewódzkiej Konferencji Spraw Socjalno-Wyborczej Związku Młodzieży Socjalistycznej. Oczywiście głównym celem konferencji było podsumowanie zadań naszego związku w ciągu ostatnich dwóch lat i skonkretyzowanie zadań lubelskiego ZMS na najbliższą przyszłość. Jednak obrady tym razem przebiegały w szczególniej atmosferze. Wszak tego dnia lubelski ZMS osiągnął liczbę 50 tysięcy członków, a to jest liczba poważna...

— Tak. Wzręcenie pięćdziesięciotysięcznej legitymacji członkowskiej odczuliśmy jako chwilę bardzo uroczystą. I może przy tej okazji dorzucę kilka innych liczb, które charakteryzują lubelską organizację. Przede wszystkim 50 proc. członków to młodzież z zakładów pracy i instytucji. To jest dla nas bardzo ważne. Dotąd przeważała młodzież szkolna i studencka. W czasie ostatniej kadencji przeprowadziliśmy szereg spotkań i rozmów z młodzieżą pracującą; w wyniku tego w ostatecznym roku wstąpiło do ZMS ok. 3 tys. młodych robotników i techników. Sprawa druga — przeciętna wiek. Ponad 50 proc. członków liczy od 15 do 19 lat. I wreszcie trzecie zestawienie: połowę lubelskiego ZMS stanowią dziewczęta.

— Podkreślenie w swej wypowiedzi powstania napisy młodzieży z zakładów pracy. Jak to będzie rutynowo na działalności organizacji?

— ZMS zawsze określamy jako organizację o charakterze robotniczym, działającą wśród młodzieży pracującej, bądź też przygotowującą młodzież do wejścia w środowisko ludzi pracy. Organizacja lubelska stoi pod tym względem na doskonałej pozycji, bo skupia po połowie taką i taką młodzież. Tym łatwiej obydwie grupy będą się nawzajem przenikać na gruncie organizacyjnym. Stąd jedną z naczelnych spraw omawianych na konferencji była pomoc ZMS w przygotowaniu młodzieży do zawodu o r z nawiązaniem przez młodych ludzi z z n o s i c i z zakładem pracy jeszcze przed podjęciem pracy zawodowej. Mówiąc inaczej: chcemy, aby taki człowiek dzięki jak najliczniejszemu spotkaniu z załogą i odwiedzaniem zakładu zaczął powoli „wraść” w środowisko, do którego wkrótce „wejdzie”.

— To by dotyczyło członków ZMS, którzy na razie jeszcze zajmują miejsca na ławie szkolnej lub w auli uniwersyteckiej. A jeśli chodzi o młodzież już pracującą?

— Przede wszystkim będziemy zwracali uwagę na formy aktywności produkcyjnej tej młodzieży. Wpływa to zresztą z ostatnich uchwał Komitetu Centralnego PZPR, które przewidują intensyfikację gospodarki. Dlatego zadaniem członków ZMS w zakładach będzie głównie podniesienie wydajności pracy młodych załóg, wzrost dyscypliny, walka z marnotrawstwem materiałowym. Zresztą już teraz możemy

odnotować interesujące wyniki. 1734 brigady w województwie posiadają tytuł „Brygad Pracy Socjalistycznej”, o taki tytuł walczy jeszcze 2291 brigad. Ale w 1970 r. wprowadzamy pewne nowum: chcielibyśmy, aby współzawodnictwo nasilniej zaznaczało się tam, gdzie przebiega front pracy najbardziej odpowiedzialnej; mam tu na myśli przede wszystkim produkcję eksportową i antyimportową. W ramach troski o wzmocnienie aktywności produkcyjnej młodzieży równie ważnym stał się „Turniej młodych



Kazimierz Gieron
Fot. J. Trembecki (CAF)

mistrzów techniki”. Chodzi w nim o rozbudzenie zainteresowania sprawami racjonalizacji i wynalazczości w zakładach pracy. W 1968 r. w turnieju wzięło udział 490 młodych pracowników, którzy zgłosili łącznie 550 wniosków racjonalizatorskich. Wykorzystanie tych wniosków przyniosło zakładom pracy 14 milionów złotych oszczędności. Można by jednak mówić o pełnym sukcesie tego przedsięwzięcia do piero wówczas, gdy instytucje czy fabryki same będą stawały przed swymi pracownikami określone problemy do rozwiązania. I na to właśnie kładź będziemy w bieżącej kadencji bardzo silny nacisk.

— Wciąż ograniczamy się w naszej rozmowie do środowisk „zamkniętych”, jak szkoła, wyższe uczelnie, czy zakład pracy, do spraw „zawodowych”. A jak wygląda wasza działalność w odniesieniu do szerszej rozmiarów spraw społeczno-bytowych młodzieży?

— Tu by trzeba na pierwszym miejscu wymienić prowadzoną przez ZMS akcję oszczędzania na mieszkaniu. Na Lubelszczyźnie 4300 ZMS-owców posiada oszczędnościowe książeczki mieszkaniowe. Bardzo interesująca inicjatywa w tym

względnie powstała wśród młodzieży z Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie. Otóż wzorem Krakowa i Katowic tutejsi członkowie ZMS zgłosili chęć odpracowania na budowych lubelskich spółdzielni mieszkaniowych jednej trzeciej części wkładu. Sprawa ta jest jednak na razie w fazie dyskusji wśród kompetentnych czynników. A jeśli znowu, chcąc nie chcąc, znaleźliśmy się na terenie fabryki, to trochę niepokoi nas fakt, że dotąd jeszcze w 42 zakładach pracy młodzież nie posiada swych reprezentantów w samorządach robotniczych i w tym względzie również w najbliższym czasie będziemy starali się zaktywizować nasze środowisko.

— Na temat problemów „50 tysięcy” można by właściwie w nieskończoność. Pozostały wszak do omówienia takie formy działalności ZMS, jak praca ideowo-polityczna w środowisku, poczynania kulturalne, sport i turystyka.

— Oczywiście. Ale starałem się zwracać uwagę głównie na te problemy, o których przeciętny obywatel jest może najbardziej informowany. Wiele osób orientuje się na przykład, że otrzymaliśmy w organizowaniu przez ZG ZMS i Polską Telewizję ogólnopolskim turnieju — „My — 69” pierwszą nagrodę i ogromny kryształowy puchar, mniej natomiast wiadomo o naszych codziennych przedsięwzięciach i osiągnięciach. Szczególnie wiele satysfakcji sprawia nam na przykład tegoroczna szkolna „Olimpiada wiedzy o Polsce i świecie współczesnym”, poświęcona tym razem 100-leciu urodzin Lenina. Bierze w niej udział aż 85 tys. osób. Naczelny nasz zadaniem jest przecież praca społeczno-polityczna, wychowanie młodzieży w duchu socjalistycznym. Prowadzimy liczne wieczorowe szkoły aktywu, wszechstronne społeczno-polityczne, studenckie ośrodki dyskusyjne, koła młodych racjonalistów. W szkołach województwa 300 zespołów walczy o tytuł „Grupy Wychowania Socjalistycznego”. 85 proc. kół ZMS prowadzi systematyczną pracę szkoleniową. Należy podkreślić bardzo duży udział organizacji w obchodach 25-lecia PRL, wyborach do Sejmu i rad narodowych, udział w dyskusji przed V Zjazdem PZPR.

W dziedzinie kultury nie można nie wspomnieć o akcji Klubów X Muzy, prowadzonej wspólnie z Wojewódzkim Zarządem Kin. W chwili obecnej działa w województwie 19 takich klubów, popularyzujących sztukę filmową.

— Jakże zadanie do zrealizowania, ale już w dalszej perspektywie, stawia sobie wasza organizacja?

— Pozyskanie dla ZMS następnych pięćdziesięciu tysięcy członków!

Rozmawiał M. D.

WOLNA TRYBUNA

Cieszymy się...

W LUBLINIE powstała grupa poetycka „Samsara”. Założycielami grupy i jej członkami są studenci lubelskich wyższych uczelni. Gościny użyczył jej „Kurier Lubelski”. Mam przed sobą pierwszą oficjalną kolumnę poetycką tej grupy (Kurier Lubelski nr 13, 1970). W artykule wstępnym, coś jakby manifestie grupy, piera Andrzej W. Pawluczuk, zatytułowanym „Nie tylko słowo”, czytamy: *Poezja — przede wszystkim — musi coś wyrazić. Ale żeby była wyrazem pewnej rzeczywistości, idei czy postawy, musi być dziełem ludzi ocej postawy i idee posiadających! Tymczasem wszyscy piszą tak samo, to znaczy niajako i wszyscy o tym samym — czyli o niczym.*

W dalszym ciągu A. W. Pawluczuk podaje przykłady owej nijakości. Przykładowo tych nie będę tutaj jeszcze raz cytował. Owej nijakości poszukam w wierszach członków grupy, a zapewniam — jest ich bez liku.

Oto Dominik Opolski w wierszu „Pamięć” pisze:
*Kwiat zawiął nade mną. Ziemia mnie oddala
Od skortupy biegu. — Stopa drży pod skórą —
Zwierzęcia pamięci lają po mych zębach
Szukając pokarmu, co w ich ślad mnie ściska*

Przebrnąwszy przez ten fragment przestajemy dziwić się ziemi. Opolski pisze jeszcze o ruinach pamięci, barwnych zrykach rosy. W wierszu, którego tytuł wyżej podałem, Opolski potrafił także *sens napaści sprzedać w formie pytań o cel wędrowania*. Nie ustrzegł się również „metaforek — potworków” sam ideolog grupy „Samsara” — Pawluczuk. Pisze on o *wyczerpanych schodach, o rosie która tli się na przeciepiętych kwiatach*, a Stanisław Jan Królík pisze o sobie, że jest *kraszony czerncem*.

W „Nie tylko słowo” czytamy: *nie ucieczka ice własne mikroproblemi, nie skupianie się na własnych rozdarciach jest dzisiaj zadaniem poezji*. Jeśli dobrze zrozumiałem, „Samsarowcy” chcą pisać o sprawach dziejących się aktualnie, chcą być uczestnikami, chcą wpływać na bieg wydarzeń, a nie ograniczać się li tylko do roli obserwatorów. Ładnie powiedziane i zgadzam się z tym całkowicie. Popatrzmy jednak, jak ten postulat realizowany jest w praktyce, jak „włączyli się w nurt życia” twórcy „Samsary”. Na dwanaście wydrukowanych wierszy nie znalazłem ani jednego, który by chociaż dotykał spraw dziejących się w naszej rzeczywistości. Ani jeden z wypełnionych przez „Samsarowców” wierszy nie wzruszył mnie, nie przemówił autentycznością prawdziwego przeżycia.

Czytam następujący fragment wiersza S. J. Królíka pt. „Chodzę”:
*Chodzę na kurhan wzniosły ponad czasy
Odmawiam chwile na palce pisane
Drzewom ukłony rozdzaje wraz z wiatrem
Lękającym w ciszy*

lub:
*Kradzioną struną dręczysz powietrze
i tamburynów moc na nie spełznie
i Jakubowa drabina snadnie
życiocy woni nie ujrzy wcale*

Trudno zwrotki te nazwać poezją. Może to grafomania, a może to ten najprawdziwszy bełkot, z którym tak walczy Pawluczuk?

Wiersze, które przynosi kolumna (może poza wierszami Migo i Osmoły), świadczą o standardowej lub jeszcze nie rozbudzonej wyobraźni. Poetyczne gadulstwo, często bez sensu, pretensjonalność, wymyślina a niefortunna metaforyka wydają się potwierdzać tezę, „Samsarowcy”, odrzucając młodą poezję, przy okazji zdradzają się, że nie znają tej młodej poezji. Bo wystarczy przeczytać tomiki Barańczaka, Krynickiego, Zadury — zresztą po co daleko sięgać — Józefackiej czy Sęczywy, aby zmienić zdanie.

Znalazłem w „Manifestie” Pawluczuka zdanie, które doskonale charakteryzuje osiągnięcia „Samsarowców”. Zdanie to, skierowane przeciwko młodej poezji i młodym poetom, dedykuję „Samsarowcom”. Pawluczuk pisze: *Bełkocząc bełkotliwym bełkotaniem sięgacie za wysoko i to sięgacie z miejsca, z którego — stojąc nawet na drabinie — tego czegoś dostać nie możecie*. Jestem pewien, że członkiem grupy „Samsara” nie pomoże nawet wieża Eiffla.

Andrzej W. Pawluczuk pokazał, że jest doskonałym „ideologiem humorystą”. Tak też należy traktować program grupy i kolumnę. Na usprawiedliwienie trzeba dodać, że autorzy kolumny znajdują się dopiero w początkowym okresie pisania wierszy. Poczekajmy na drugą kolumnę, a na razie cieszymy się — mamy dowcipnych studentów.

Henryk Józef Kozak

P. S. Dziękuję Panu R. Setnikowi za tak trafne określenie małego realizmu. Nareszcie dowiedziałem się, co to jest ten mały realizm.

LUBELSZCZYZNY

Dzień dzisiejszy

Klub Leninowski

Z bardzo interesującą inicjatywą wystąpił Zarząd Zakładowy ZMS przy Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Lublinie. W związku z obchodami setnej rocznicy urodzin Lenina, zetemesowcy założyli Klub Leninowski. Zadaniem Klubu jest upowszechnianie wiedzy o ideach Lenina, propagowanie jego dzieł oraz rozszerzanie wiedzy o Związku Radzieckim.

3 stycznia br. zorganizowano pierwsze seminarium leninowskie. Wzięli w nim udział przedstawiciele Komitetu z Brześcia i Łucka. W oparciu o materiały ofiarowane przez młodzież radziecką i otrzymane z biblioteki ZW TPPR w Lublinie — otwarto w gmachu DOPIT niewielką wystawę, obrazującą życie i działalność Lenina.

Ciekawie przedstawił się program pracy Klubu na najbliższe miesiące. W lutym i marcu odbędzie się spotkanie z przedstawicielami Armii Radzieckiej, Domu Kultury Radzieckiej w Warszawie oraz korespondentem „Komsomolskiej Prawdy”. 26 stycznia przedstawiciele Klubu przyjął ambasador ZSRR w Polsce, Awierkij Aristaw. W lutym ambasador będzie gościem lubelskich ZMS-owców.

W zajęciach klubowych uczestniczą również uczniowie ze wszystkich lubelskich techników łączności. W ten sposób akcja szkoleniowa została objętych ponad 500 członków ZMS.

Teatr Propozycji

Można się spierać, czy słowo „teatr” jest tu właściwie użyte. Rzecz bowiem nie potrzebuje sceny, rekwizytów itd. Nie chodzi jednak o nazwę, lecz o sens. Otóż grupa ludzi dobrej woli, ambitnych i zdolnych, organizuje w Lublinie zespół, który przyjął nazwę Teatr Propozycji. Cały zespół składa się z czterech osób: aktorów Teatru im. Osterwy

— Piotra Wysockiego i Zbigniewa Sztelmana, piosenkarki Zofii Wronko oraz pianisty Jacka Abramowicza.

Twórcą i duszą zespołu jest Piotr Wysocki właśnie debiutujący na scenie lubelskiej w „Świętoszku”, poprzednio aktor w Toruniu. Dusza to widocznie niespokojna, bo już tam, w Toruniu i Bydgoszczy, stworzył i prowadził podobny zespół, który dał 30 programów, razem ok. 100 spektakli. W Lublinie spotkał się ze swoim kolegą z krakowskiej szkoły aktorskiej Zb. Sztelmanem, a rezultatem stało się powstanie nieoficjalnie jeszcze istniejącego Teatru Propozycji.

Zespół pragnie prezentować programy głęboko zaangażowane ideowo, aktualne, zmuszające widza do myślenia. Przygotowywany właśnie program oparty jest na wyjątkach z felietonów Hamilitona, zamieszczonych w jego książce „Małenka sióła szubienica”. Następny program ma być oparty na głosnej książce Twardońskiego „Szkola Janczarów”. W miarę potrzeby skład zespołu będzie uzupełniany.

Tego rodzaju teatr propozycji nie posiada w Lublinie żadnej tradycji. Młodemu i ambitnemu zespołowi tym bardziej należy życzyć powodzenia — i cieszyć się z jeszcze jednej inicjatywy kulturalnej.

A swoją drogą wolania o drugą scenę w samym teatrze wciąż pozostają aktualne.

Kłopoty z orkiestrą

Przed kilku laty przy ORMO w Zakładach Azotowych została utworzona orkiestra, która potem przejęły same zakłady. Ćwiczyła ona wieczorami w korytarzu gmachu Prezydium PRN, a potem występowała z okazji różnych uroczystości, w ZA i poza nim.

Z biegiem czasu zarzęczy się jednak ujawniać różne kłopoty. Niektórzy członkowie orkiestry mieli już ponad 50 lat i nie kwapili się do prób, w dodatku nie mieli przekonania do nowszej muzyki. Z zespołu zarzęczy się wyłaniać drobniejsze zespołiki, które coraz częściej urozmaicały okoliczne wesela. Z mundurów, jakie sprawiono muzykom, niektórzy poodpruili emblematy i nosili je nie tylko na owych weselach, ale także w życiu prywatnym.

W wyniku nastąpiło całkowite rozpadnięcie. Ostatnio część zespołu zniknęła kategorycznie podnieśli stawek za próby o równe sto procent. Na próbach zjawiała się trzęsica, czasem czwarta część orkiestry. Za jeden występ dla zalogi ZA, która przecież dawała środki na utrzymanie tej orkiestry, żądano kilka tysięcy złotych.

W związku z przejęciem przez Zakłady Azotowe domu kultury dotychczasowa orkiestra ulega całkowitej reorganizacji. Przede wszystkim nowy zespół został oparty na uczniach miejscowego technikum chemicznego, a więc na młodzieży, która wkrótce przejdzie do pracy w zakładach. Kapelmistrzem został pan Kozłowski, który zapewne potrafi wprowadzić do zespołu większą dyscyplinę.

Kierowniczka Zakładowego Domu Kultury p. Lucja Hasiewicz jest bardzo zadowolona z tych zmian. Spodziewa się, że nowy zespół stanie się rzeczywistie orkiestrą zakładową, która będzie można często wykorzystywać w pracy ZDK. Miejmy nadzieję, że tak się stanie.

Sposób na klub filmowy

„W powiatach jak dyskusyjny klub filmowy potrwa do dwu lat, to już jest dobrze” — powiedział mi kierownik PDK w Tomaszowie Lubelskim, Bronisław Atalski. Ich klub działał przez trzy lata, do czerwca 1969 roku. Zatem nie było tak źle, a raczej było lepiej niż przy przeciętnym powiatowym „dobrze”, choć nie było dobrze w ogóle, jeśli musieli zawiesić działalność. Ostatnio otrzymali coraz gorsze filmy, a i liczba członków zmniejszała się. Mieli też trudności z dyskusjami i prelegentami, którym — jak wiadomo — trzeba płacić, to za m. in. uzależnione jest od wplywów za karty członkowskie. A przecież film też dyskusyjny, „trudny”, wymaga fachowego komentarza, wprowadzenia widza, czego nie zastąpi odczytywanie formułek z „Filmowych serwiów prasowych”.

W tej sytuacji od 1 lutego br. postanowili „ruszyć” jako Młodzieżowy Dyskusyjny Klub Filmowy, m. in. dzięki inicjatywie niestrudzonego prezesa dawnego klubu, Adolfa Kozy. Nawiazali kontakty z dyrektorami miejscowych szkół średnich, gdzie odbyła się rekrutacja do klubu około 200 osób spośród 18-letniej młodzieży. Karta członkowska kosztuje 15 zł miesięcznie i upoważnia do obejrzenia 4-5 filmów. Powinno być teraz łatwiej z prelegentami, bo pieniądze więcej. Może to jest rzeczywiste sposob na ożywienie i ustabilizowanie działalności dyskusyjnych klubów filmowych przy powiatowych domach kultury?

Technicy ... sztuk plastycznych

W przyszłym roku zamoujkie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych opuścza pierwszy absolwent a tytułem technika

sztuk plastycznych, co zapowiada istotną zmianę w statusie tej szkoły, do niedawna traktowanej i funkcjonującej jako normalne liceum ogólnokształcące, tylko dodatkowo zaznające uczenia z przedmiotami z zakresu historii sztuki oraz praktyki malarskiej, graficznej czy rzeźbiarskiej; nie dawalo to jednak żadnych uprawnień zawodowych. Zrozumiałe, że tacy nihy — plastycy bez faktycznych i formalnych uprawnień zawodowych, jeśli nie zostali przyjęci na wyższe studia artystyczne, z reguły mieli sporo kłopotów z uzyskaniem zatrudnienia. Horacze pod uwagę, dyrekcja PLSP doprowadziła w 1968 r. do przekształcenia szkoły w półzawodową — ze specjalnością „pamiętkarstwo”, podsunęta przez pewną zamożność geograficzno-zabytkową regionu zamojskiego i okolic. Szkoła nie zdradza jednak najmniejszych skłonności do powielania sztammy pamiętkarskiej, dute znaczenie przypisując osobistej inwencji uczniów, pracy przede wszystkim ręcznej.

Nowy profil kształtuje się nie bez trudności. W tym roku praktyki w prakcyjne powinny objąć 43 uczniów, w przyszłym już 71, a tymczasem warsztaty spółdzielni artystycznych, gdzie odbywają się praktyki, oferują niewspółmiernie mniejsze liczbe miejsc. Można przypuszczać, że kłopoty te zostaną jednak rozwiązane dzięki rzeczywistej energicznej działalności dyrekcji i kadry dydaktycznej szkoły.

Zamojskie PLSP, liczące 200 uczniów, realnie ocenilo sytuację swoich absolwentów. Gdyby tak jeszcze zachciał ktoś spojrzeć realnie na trudną sytuację lokalowa szkoły?

Bakcył turystyki

Chciałbym napisać bardzo ciepło o tym człowieku, ale p. Wacław Dobrowolski jest bardzo skromny i twierdzi, że wszelkie zasługi ma nie on, ale kole, Kolo nr 3 przy Zakładach Energetycznych w Kraśniku, Kolo PTTK.

W ubiegłym roku członkowie kola uczestniczyli w II imprezach turystycznych. M. in. brali udział w zimowym spływie kajakarzy w woj. bydgoskim, zimowym rajdzie pieszym w Pulawach, w spływie Tanew — San — Wisła, w spływie Energetyka na Drawie. Zajęli pierwsze miejsce w rajdzie pieszym Energetyka z Ustrzyk Dolnych do Soliny. Tych sukcesów było dużo więcej, gdyż kolo już trzykrotnie (!) zdobywało pierwsze miejsce w federacji sportowej Energetyk.

Pozostało dużo wspomnień, wplywnych zdjęć i dalszych planów na przyszłość. Liczba entuzjastów turystyki rośnie z

każdym rokiem. Jedną z poważniejszych imprez br. będzie rajd szlakiem walk partyzanckich.

P. Wacław Dobrowolski jest również członkiem zarządu kraśnickiego oddziału PTTK.

— Mamy pełne poparcie miejscowych władz — mówi — zarówno KP PZPR jak i Prez. PRN. I tam zdołaliśmy zaszczyć bakcył turystyki. Podrobnym podcaz urlopów, tak że praca zawodo-



Członkowie kola PTTK nr 3 na rajdzie w Sudetach.

wa nie na tym nie cierpi. Bardzo ciekawie nam na popularyzacji naszych inicjatyw wśród młodzieży. Kilku chuliganów udało nam się wyprowadzić na judo. W Kraśniku turystyka ma zielone światło. I tak np. zakładowy oddział PTTK przy KPWm dzięczy palnie pierwszeństwa w imprezach organizowanych przez związki zawodowe metalowców na Lubelszczyźnie...
Dalszych sukcesów

Lenin i Gorki

Regina Gerlecka

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

SOBONY rozdział wzajemnych stosunków Lenina i Gorkiego stanowi listy lub te ich fragmenty, w których Lenin informował o swoich pracach i zamierzeniach i z kolei pytał pisarza o jego plany, interesował się, nad czym pracuje, pytał „czy dobrze idzie praca”, czy podobają mu się bolszewickie pisma „Zwiewda” i „Myśl”, dopominał się o częstsze listy, żałował, że nie może widywać się z Gorkim.

Nadzieja Krupskaja słusznie zauważa, że w listach do Gorkiego rysuje się wyraziście postać samego Lenina jako człowieka i przyjaciela pisarza. Stwierdza ona: *Pisze do Gorkiego otwarcie i bezpośrednio o tym, z czym się nie zgadza, co go niepokoi i napędza troską. Ilżcz pisał zwykle tak do towarzyszy, ale w listach do Gorkiego jest jakiś szczególny odcień. Często pisze bardzo dosadnie, ale jednocześnie wyrozumiało się w tym wiele serdeczności. Listy pisane są zawsze pod bezpośrednim wrażeniem jakiegoś zdarzenia, jest w nich dużo momentów uczuciowych, wyraźnie odbija się niepokój, ciężar niektórych przeżyć, radość, nadzieja. Ilżcz uważył, że Gorki to dobrze rozumie. Pragnął zawsze przekonać Gorkiego o słuszności swoich poglądów i gorąco ich bronił.*

Korespondencja Lenina i osobiste kontakty miały ogromne znaczenie dla pracy pisarskiej Gorkiego w trudnych latach porowolucyjnych (i w dalszej przyszłości). Z wyjątkiem „Spowiedzi” utwory jego z tego okresu wiązały się z zagadnieniami ruchu rewolucyjnego i obiektywnie mu służyły. Wymienić tu trzeba „Życie niepotrzebnego człowieka”, gdzie Gorki przedstawił okrucieństwo i słabość carskiego samowładztwa, opartego na szpiegach, żandarmach i ochranie, oraz wskazał, że ruch rewolucyjny ogarnia coraz szersze kręgi społeczne. Następnie — powieść o tematyce wiejskiej „Lato”, wiążąca się z „Matką” poprzez postać głównej bohaterki, która jak Nilowna zostaje uczennicą rewolucjonistów. I wreszcie opowiadania: „Miaścyczko Okurów” i „Życie Matwieja Kożemiankina”, obrazujące gnusne bytowanie mieszczań i proces odnowy najlepszych wśród nich ludzi, spowodowany działalnością zesłańców politycznych.

Na szczególną uwagę zasługują rewolucyjne „Baśnie”, drukowane w „Zwiewdzie” oraz artykuł „Zniweczenie osobowości” (1909), w którym Gorki ukazał regres ideowo-artystyczny pisarzy, związanych z obozem reakcji. Podkreślając ich obcość wobec spraw narodu, szczególnie ostro wystąpił przeciw tym pisarzom, którzy fałszowali postać rewolucjonistów i z większym lub mniejszym brakiem talentu podkreślali w nim to wszystko, co mogłoby zaciemnić lub zohydzić jego ludzkie oblicze — jedyne szlachetne oblicze współczesności. Tej dekadentycznej literaturze przeciwstawił Gorki twórczość klasyków rosyjskich, jej ścisły związek z życiem społeczeństwa i stwierdził, że postępowy dorobek myśli rosyjskiej XIX wieku przejął w wieku XX literatura służąca interesom ludu.

Szczególne kult dla klasyków rosyjskich był wspólną cechą Lenina i Gorkiego. Lenin — jak pisze Nadzieja Krupskaja — najbardziej lubił utwory Puszkina, ale niejednokrotnie powracał do dzieł Turgeniewa, Niekrasowa, Czechowa. Świetnie znał twórczość rewolucyjnych demokratów, zwłaszcza Czernyszewskiego, cenil Hercena i Pisariewa, o znaczeniu zaś i kursach pisarskim Tolstoja napisał w latach 1902—1911 pięć artykułów, będących klasycznym przykładem marksistowskiej analizy całości zjawiska literackiego. Kiedyś w rozmowie z Gorkim tak wyraził się o Tolstoju: *Co za potęga, prawda? Co za moce człeczyska. To jest, dobrodziej, artysta... I wiecie, co jeszcze jest zadziwiająca? Do czasów tego hrabiego nie było w literaturze prawdziwego chłopca.*

W tych smutnych latach Gorki też zaczął pisać o Tolstoju (którego wcześniej poznał osobiście), wiele uwagi poświęcił Korolence, Czechowowi, Błokowi — pisarzom, z którymi zetknął się w swoim życiu. Zarówno w twórczości artystycznej, jak i w krytyce literackiej, niezau-

wodną busolą była dla Gorkiego lenińska zasada partyjnej ideowości, lenińska teoria odbicia, zawarta w dziele „Materializm a empiriokrytycyzm” i stanowiąca punkt wyjścia do rozwiązania podstawowego problemu estetyki — stosunku sztuki do rzeczywistości, oraz szkice Lenina o Tolstoju, które odegrały doniosłą rolę w kształtowaniu się naukowej interpretacji dzieła literackiego.

Kiedy w 1913 r. rząd carski wydał manifest amnestyjny z okazji 300-lecia dynastii Romanowów, Lenin poradził Gorkiemu, by skorzystał z amnestii i wrócił do kraju: *Mam nadzieję — pisał do Gorkiego — że nie holdujecie poglądom, że nie należy przyjmować amnestii? Byłoby to poglądem nieuczynnym: rewolucjonista w dzisiejszych czasach więcej robi działając w kraju (...). Napiszcie wasze zdanie i zamiary (...). A dla pisarza rewolucyjnego możliwość powrotu się po Rosji (po nowej Rosji) oznacza możliwość zadania storków silniejszego ciosu Romanowom i spółce...*

Po przyjeździe do kraju Gorki podjął działalność organizacyjno-literacką i kontynuował ją w latach pierwszej wojny światowej i po wybuchu Rewolucji Październikowej. Zorganizował wówczas wydawnictwo „Literatura Powszechna” i założył czasopismo „Letopis”, które — zgodnie ze stanowiskiem bolszewików — występowało przeciwko imperialistycznej rzędzi. Na łamach „Letopisu” prowadził Gorki walkę z społecznymi prądami w literaturze i patronował pracy młodych poetów i prozaików proletariackich. Kontakty z Leninem przerwała wojna i to zaciążyło na stosunku pisarza do Rewolucji Październikowej.

Rewolucję Październikową przyjął Gorki z rezerwą. Zdawało mu się — jak sam potem wyznał — że Lenin przecenia siły zorganizowanego proletariatu i że bolszewicy nie opamiętają anarchii, którą wywołała wojna, że przeciw im, pochłonię ich anarchia. Nie zgadzał się z Leninem również w ocenie roli inteligencji w rewolucji. Uważał bowiem, że rozum mas ludowych, mimo wszystkich impulsów i bodźców przezeń otrzymanych, pozostaje nadal jeszcze ślepy, wymagający kierownictwa z zewnątrz... Dopiero powszechne oburzenie wśród robotników, wywołane zamachem na życie Lenina, dowiodło, że idea lenińska — jak stwierdził pisarz — głęboko urosła w świadomość mas robotniczych i że zdumiewającą szybkością organizuje ich siły.

Do chwili zamachu na Lenina Gorki nie spotykał się z nim i nie widywał go nawet z daleka. Stał na uboczu rozgrywających się wydarzeń, ale i wtedy żywił najgłębszy szacunek dla Lenina, dla jego pasji rewolucyjnej i niezłomnej woli. Przyszedł do niego wkrótce po zamachu, aby wyrazić swój żal i oburzenie, i został przyjęty jak przyjaciel. Ale po kilku minutach — wspomina pisarz — Lenin zawołał: *Kto nie z nami, ten przeciw nam. Ludzie niezależni od historii — to fantazja. Jeżeli przypuścić, że kiedyś tacy ludzie nawet byli, to dzisiaj ich nie ma, nie może być. Nikomu nie są potrzebni. Wszyscy, do ostatniego, wciągnięci są w wir rzeczywistości, skomplikowanej, jak nigdy jeszcze...*

Kontynuując w Piotrogrodzie swoją działalność na polu kultury, podejmował Gorki liczne przedsięwzięcia literackie i teatralne, wiele czasu poświęcał redagowaniu wydawnictwa „Literatura Powszechna” oraz zaprojektowanej przez siebie organizacji „Domu Uczonych”. Pochłonięty tą działalnością w okresie, kiedy na całym niemal obszarze Rosji rozgorzała wojna z interwentami i wojna domowa, Gorki żył — jak sam powiada — poza nauką polityki. Toteż surowa rzeczywistość obłożonego miasta, szerząca się w nim choroba i niedza oraz sytuacja inteligencji burżuazyjnej budziły w nim goręcy i wątpliwość. Wydawało mu się, że zaistniała rozbieżność między teorią i praktyką komunizmu. Te i inne wrażenia i wątpliwości wyłożył w liście do Lenina, na który Lenin odpisał w sposób szczerzy i bezpośredni ze szczególnym odcieniem serdeczności. Wskazując Gorkiemu przyczyny jego depresji — izolację od żywych treści życia kraju i stały kontakt z „resztkami arystokracji” (jak się wyraził sam Gorki)

oraz z burżuazyjną inteligencją, która niczego nie zrozumiała, niczego nie zapomniała, niczego się nie nauczyła. — Lenin pisał m. in., co następuje: *Zaczynacie od dezynferit i cholery; i od razu jakieś choroby rozgorączkują: „braterstwo, równość”. Bezwidnie, ale wynika stąd coś w tym rodzaju, jak gdyby komunizm ponosił winę za głód, nędzę i choroby w obłożonym mieście. (...) Więć to „resztki” jakoby „żywią do Władzy Radzieckiej uczucie pokrewne sympatii”, a „większość robotników” dostarcza złodziei, koniunkturalnych „komunistów” itp. Dochodzą więc do „onióska”, że rewolucji nie można robić przy pomocy złodziei, nie można robić bez inteligencji. Robi się wszystko, żeby przyciągnąć inteligencję (nie biurokrację) do walki ze złodziejami. I z miesiąca na miesiąc w Republice Radzieckiej wzrasta procent burżuazyjnych inteligentów, którzy szczerze pomagają robotnikom i chłopom, a nie tylko gderają i pienią się z wściekłości. (...) Postawili się w sytuacji, w której (...) obserwowaciel musiecie strzępki życia byłej stolicy, skąd kwiat robotników poszedł na front i na wieś i gdzie zostało nieproporcjonalnie wiele pozabawionej pozycji i bezrobotnej inteligencji, która specjalnie Was „oblega”. A rady, żeby wyjechać, uparcie odrzucacie.*

Nic dziwnego, że upędziliście się w chorobę: życie, jak piszecie, stało się dla Was nie tylko ciężkie, ale i „wielce obrzydliwe”. Ależ to musiało nastąpić. W takich czasach przykuć się do najbardziej zaognionego punktu jako redaktor literatury przekładowej (najbardziej odpowiedzialne zajęcie dla obserwatora ludzi, dla artysty). Tego, co nowe w armii, na wsi, w fabryce, jako artysta obserwować i badać tam nie macie możności. Uniemożliwiłcie sobie robienie tego, co dąoby zadoolenie artysty — to Pitrze można robić politykę, ale Wy nie jesteście politykiem. (...) Życie obrzydło, „pogłębia się rozbieżność” z komunizmem. Na czym ta rozbieżność polega, zrozumieć nie sposób. (...) Rozbieżność w nastrojach między ludźmi zajmujemy się polityką, czy też pochłoniętymi najzacieklejszą walką, a nastrojem człowieka, który upędził się sztucznie w taką sytuację, że obserwować nowego życia nie może, a doznawane przezeń wrażenia gnęła ogromnej stolicy burżuazyjnej biorą nad nim górę. Nie chcę narzucać się z radami, ale nie mogę nie powiedzieć: zmieńcie radykalnie otoczenie — i środowisko, i miejsce pobytu, i zajęcie — w przeciwnym razie życie może Wam obrzydnąć ostatecznie.

I pisarz zrozumiał, że patrzył na rzeczywistość młodej republiki (ra-

czej na wycinek tej rzeczywistości) przez pryzmat wrogich wobec niej poglądów, odczuć i podszeptów, ale jeszcze nie we wszystkim zgadzał się z Leninem. Odwiedzając go jednak na Kremlu lub w Gorkach, miał okazję usłyszeć i ocenić zjawisk z pozytywnej wielkich idei lenińskich.

Gdy Gorki protestował w imię humanitaryzmu przeciwko surowości taktyki rewolucyjnej wobec nieprzyjaciół zewnętrznym i wewnętrznym państwa radzieckiego — Lenin pytał ze zdziwieniem i gniewem: *Ciepół Wy chcecie? Czy możliwy jest humanitaryzm przy takiej niebywale zaciekłej walce? Gdzie tu miejsce na kłitność i wspaniałomyślność? Europa nas blokuje (...), ze wszystkich stron lezie na nas, jak jakiś niedźwiedź, kontrrewolucja, a my co? Nie mamy się bronić, nie mamy na to prawa? (...) My wiemy, że tego, czego pragniemy, nikt prócz nas zrealizować nie może. Czyż naprawdę przypuszczacie, że siedziałbym tutaj, gdybym był innego zdania?*

Lenin lubił Aleksieja Maksymowicza jako człowieka (...) i cenil go jako artystę — zanotowała Krupskaja. Już wtedy właśnie Lenin zaliczył Gorkiego do klasyków. W liście do A. Lunaczarskiego, jako kierownika Ludowego Komisarjatu Oświaty, pisał na początku 1920 r.: *Czy nie czas już na stworzenie słownika żywego języka rosyjskiego, potędźmy, słownika wyrazów używanych obecnie i przez klasyków, od Puszkina do Gorkiego?*

Lenin bowiem przywiązywał ogromną wagę do czystości i jasności języka, do stylu zarówno utworu literackiego, jak i dzieła naukowego, referatu lub broszury agitacyjnej. Wielbiciel klasyków — cenil ich poetykę, w której myśli twórcy towarzyszy zwartość i przejrzystość, plastyczność i ład. Dlatego odnosił się z niedowierzaniem do sztuki futurystów i — jak wspomina Gorki — do poetyki Majakowskiego: *— Krzyczy, wymyśla jakieś krzywe słowa, a wszystko to — nie to, według mnie, co trzeba — nie to i mało rozumiałe. Porozszypowane wszystko. Trudno czytać.*

Pogarszający się stan zdrowia Gorkiego i usilne nalegania Lenina, by leczył się w dobrym sanatorium i w sprzyjającym klimacie, skłoniły w końcu pisarza do wyjazdu za granicę. W 1921 r. Gorki ponownie zamieszkał na Capri, gdzie przebywał do 1929 r. Mógł teraz spokojnie przemysleć doświadczenia zebrane w burzliwych latach rewolucyjnych i szerszym spojrzeniem śledzić z dystansu rozwój wydarzeń w Związku Radzieckim. Śmierć Lenina wstrząsnęła nim do głębi. Pod bezpośrednim wrażeniem tej katastrofy napisał wspomnienia o wodzu rewolucji, ale to, co napisał — jak sam potem stwierdził — pisane było w stanie przygnębienia, pośpiesznie i źle. Wszelkstronna, pełna osobowości Lenina łatwiej było ogarnąć z perspektywy czasu. Odżywały wspomnienia o licznych z nim kontaktach, odżywały w pamięci jego wypowiedzi i tematyka rozmów, rysowała się wyraziście rola tego człowieka w historii Rosji i całego świata i w jego, Gorkowskim, indywidualnym życiu. To wszystko składało się powoli na drugie wydanie wspomnień o Leninie.

Tymczasem Gorki wraca raz jeszcze do swych dawnych tematów, do sprawy mieszczaństwa w „Rodzinie Artamonowów” (1925), ukazującej proces rozkładu tej warstwy i

historyczną konieczność rewolucji proletariackiej i do problemu inteligencji, podjętego w niedokończonych powieści „Życie Klimy Samgina” (1926—1928). Powieści tej, jak i dalszej twórczości Gorkiego, patronuje wyraźnie myśl lenińska, dźwięczą w niej echa dyskusji z Leninem.

Tak więc historia dwu bohaterów inteligentnych — Samgina i Kutuzowa — jest artystycznym uogólnieniem procesu polaryzacji dwu zasadniczych postaw ideowo-moralnych w kręgach rosyjskiej inteligencji w dobie rozwoju ruchu rewolucyjnego: postawy egoistycznej, indywidualistycznej i dwulicowej (Samgin) i postawy ideowo i politycznie zaangażowanej w sprawę socjalizmu (Kutuzow). W przededniu wybuchu Rewolucji Październikowej Kutuzow, jako porte-parole autora, przycyna, jakie winno być wobec niej stanowisko inteligencji rosyjskiej. Musi ona przede wszystkim opowiedzieć się wyraźnie, po czyjej stronie staje, ponieważ nie ma „trzeciej drogi” i nikt nie wykipi się pseudorewolucyjną pozą. Dlatego właśnie inteligencja typu samginowskiego (z którą Gorki miał do czynienia w okresie rewolucji i wojny domowej i którą Lenin tak celnie scharakteryzował w liście do pisarza) nie mogła absolutnie znaleźć sobie miejsca w rzeczywistości radzieckiej. W książce tej Gorki dokonał rozrachunku ze swymi dawnymi wątpliwościami i poglądami na problem inteligencji i rozwiązał go zgodnie ze stanowiskiem Lenina, które potwierdziła w całej rozciągłości praktyka życia.

Myśl lenińska towarzyszyła również publicystyce pisarza, podejmującej (po jego powrocie do kraju) szeroki wachlarz zagadnień. Dużą jej część stanowią odpowiedzi na listy, które pisał do Gorkiego ludzie różnego wieku, poglądów i narodowości. W zwykłych, codziennych nieraz wydarzeniach potrafił pisarz dostrzec i uogólnić ważne problemy społeczne i moralne, żywo absorbując poszczególne ludzi i cały naród radziecki. Tę umiejętność uogólniania zjawisk wyniósł z lenińskiej szkoły myślenia. W liście do Nadzieji Krupskiej pisał, jak zdumiewała go u Lenina umiejętność przechodzenia od znikomych zjawisk codziennego życia do najszerszych uogólnień.

Niektóre wypowiedzi Lenina, dotyczące pracy artysty, znalazły odbicie także w krytyce literackiej Gorkiego, w artykułach: „O prozie”, „O języku”, „O technice literackiej”, a przede wszystkim w referacie „O literaturze”, wygłoszonym na I Zjeździe Pisarzy Radzieckich w 1934 r. Gorki postulował w nim bezpośrednią obserwację rzeczywistości swego kraju i obrazowania jej w procesie rozwoju, ukazywania tego, co nowe, oraz bezwzględna walkę z przejawami poglądów idealistycznych i różnymi formami ich oddziaływania na świadomość ludzi.

Tę żywą działalność publicystyczną poprzedził utwór „Włodzimierz Ilżcz Lenin”, na który złożyły się wspomnienia o Leninie z wydania poprzedniego, lecz znacznie poszerzone i uzupełnione. Pisał je Gorki z dużym zaangażowaniem uczuciowym i szczerością, toteż odzwierciedla swoje rozmowy z Leninem, nie pomijał momentów świadczących o nieporozumieniach nawet w zasadniczych kwestiach. Wspomnienia inicjują opis spotkania z Leninem na zjeździe londyńskim i prezentacja Lenina jako wspaniałego mówcy, który skomplikowane problemy polityczne potrafił przedstawić w sposób niezwykle jasny i przekonujący.

Wielkość Lenina widział Gorki w tym, że potrafił on nieomylnie ocenić siły i możliwości ludu rosyjskiego i zorganizować je do walki o sprawiedliwy ład społeczny. Ale nie tylko w tym. Pisał: *Wyjątkowo potężne — zdaniem moim — jest u Lenina właśnie to jego uczucie nieprzejędanej, nieuoszonej wrogoci do ludzkiego nieszczęścia, jego ścisła wiara w to, że nieszczęście nie jest niezbędnym fundamentem bytu, lecz po prostu czyni obudnym, co ludzie powinni i mogą odrzucić precz. Narzwałbym te zasadnicze cechy jego charakteru wojownicym optymizmem materialisty. Właśnie to pociągało mnie szczególnie w tym człowieku; Człowieku — z dużej litery.*

Martwienie Gorkiego o bohaterskim i niekrym człowieku znalazło ucieleśnienie w postaci Lenina. Nie przypadkowo wzmieniła pisarz o gorączce pochodni *wzniesionej przez Lenina w mglistej pomroce obłakanego świata, która oświeła drożę w przyszłość. Obraz ten w młodzieńcym opowiadaniu Gorkiego — „Staruska Isgrill” — był symbolem rewolucyjnego samopowiększenia. I nie ma silw, która by mogła zrasać te pochodnie.*

Oto nie istnieje on już w sensie fizycznym — wiste Gorki — a głos jego rozbrzmiewa w uszach ludzi pracy na całej kuli ziemskiej — coraz potężniej, coraz bardziej zwycięsko; i nie masz dziś takiego zakątka ziemi, gdzie by otos ten nie budował woli ludu robotniczego — jego woli rewolucji, jego woli nowego życia, budowania świata ludzi równych.

Maria Józefacka

podwójnie tu rezonans świata dotkliwy
a jeszcze mu się serce kłania niestrudzenie
i
niby
w dzwonnicy lasu na odwieczny
armatnie kule ptactwa
tak wpadają
wieści
oehdżone
z hiobotą skwapliwością

mnie się
zanosić skrzydłami
zachłystyłość migotem piór
strzał cichym zwiadem
gdyby centurion stugłowe ilłady
wiodę
aż klaszcze ziemia nigdy syta przewog
spójr
jak białej sorocze lasy toną w śniegu
tu po staremu wieczny oręź
pieśni
dopóki
róża oddechu na piersi
po płatkach z wola nie zacnie opadać

KSIĄZKA, artykuł, esej historyczny, to gotowe produkty, rezultaty badań i dociekań, które uczony oddaje czytelnikowi. Lektura ich nie uznawania zwykle ogromu wysiłku badawczego, spraw warsztatowych, założeń metodologicznych, słowem całej bogatej i ogromnej dziedziny, która, trawestując znany tytuł książki Parandowskiego, można by nazwać swoistą alchemią historii. W tym rozległym, ukrytym przed okiem czytelnika podziemnym labiryncie porusza się nawet wtajemniczonym nie jest łatwo. A już do najtrudniejszych, najbardziej powikłanych korytarzy należą te, które są siednią metodologii, czyli mówiąc ogólnie nauki o metodach, jakimi posługuje się w swych badaniach historyk.

Przerwycając istniejącą od wielu lat wśród „cechowych” historyków pewną niechęć do teoretycznych i abstrakcyjnych rozważań metodologicznych i filozoficznych, Instytut Historii PAN wydaje od niedawna pod redakcją prof. Celinę Bobińskiej czasopismo poświęcone tym zagadnieniom pt. „Historia”. Tytuł jego nawiązuje do tradycyjnego w historiografii polskiej, lelewelowskiego określenia tej dziedziny wiedzy. W polowie roku ubiegłego ukazał się II tom „Historii”. Niski nakład (zaledwie 500 egzemplarzy) oraz wybitnie specjalistyczna treść tego doskonale redagowanego i stojącego na wysokim poziomie periodyku nie przyczyniają się do jego popularyzacji. Nie takie są zresztą założenia wydawców. Tymczasem jego niezwykle interesująca zawartość zasługuje w wielu wypadkach na baczną uwagę tych wszystkich, którym sprawy historyków nie są obce.

Z bogatej problematyki tomu II jedną z najciekawszych pozycji stanowi bezspornie artykuł prof. Ferdynanda Braudela z Paryża, zarówno ze względu na nader intrygujący tytuł „Historia operacyjna”, jak i znane, bogate tradycje poszukiwań i badań metodologicznych w XX-wiecznej historiografii francuskiej. Na szczególną uwagę zasługują zwłaszcza, zbliżone do marksizmu, koncepcje grupy historyków socjologicznych z kręgu czasopisma, „Annales d'histoire économique et sociale” Marka Blocha i Lucjusza Febvre’a. Ten ostatni wystąpił z oryginalną koncepcją „historii żywej”. Jego kontynuator, F. Braudel, zmienił ten przymiotnik na „operacyjną”. Określenie to zostało zaczerpnięte z terminologii wojskowej z czasów ostatniej wojny, jako pochodne od II biura sztabu generalnego — biura operacji. Aby rozmięścić odpowiednio materiał i siły ludzkie, trzeba było rozwiązać wiele problemów z dziedziny psychologii i rachunku, który uzyskał nazwę operacyjnego. W czasach pokojowych badania „operacyjne” zyskały sobie prawo obywatelstwa w gospodarce i polityce. Braudel pierwszy przeniósł je na grunt nauk społecznych.

Według wstępnej definicji autora historia operacyjna oznacza historię aktywnie uczestniczącą w dyskusjach o współczesności, mającą swoje słowo do powiedzenia o problemach, którymi zajmują się poszczególne nauki o człowieku. Historyk francuski gorąco polemizuje z osadami wielu socjologów, którzy twierdzą, że historia nie jest do tego upoważniona, gdyż historycy pracują na „obszarach śmierci”. Jakież to myślenie, pisze autor. Przecież bez żadnego trudu sprawić możemy, że ludzie i wydarzenia przeszłości stają się żywe, stają przed nami na odległość ręki (...) Przez długie lata zajmowałam się Filipem II hiszpańskim, nie od razu go polubiłam, a potem wspólnie staraliśmy się. Wy-

starczy teraz, żebym nastawił ucha i słyszał dźwięki bijące na chrzest Filipa, jestem tam obecny.

Po tym pięknym, typowym dla francuskiego espritu fragmencie w dalszych rozważaniach autor krytycznie ustosunkowuje się do historii tradycyjnej „opowiadającej wydarzenia”, podkreśla natomiast konieczność, co zbliża go do metodologii marksistowskiej, badań nad systemami społecznymi, gospodarczymi, kulturalnymi, demograficznymi, których rytm życia jest powolny, a trwanie wieloletnie. Jako przykład przytacza piękna jego zdaniem pracę swego ucznia Emmanuela Le Roy Ladurie „Chłopi z Langwedocji”, obejmującą długi cykl rozwojowy od 1450 do 1750 r. Zdaniem autora — badania takie wymagają studiów dogłębnych i szczegółowych. Nie jest to domena sądów wartościujących, w moim przekonaniu trzeba tu badać i li-

pisarstwo tego rodzaju jest przeniknięte w większym lub mniejszym stopniu określonymi tendencjami.

Jednak i pisarstwo sensu stricto naukowe nie jest, wbrew nakazom pozytywistycznym, dziedziną autonomiczną. Społecznie uwarunkowane i pełniące określone funkcje społeczne, dzieł z publicystyką wiele wspólnych cech. Mimo oczywistych i naturalnych powiązań ze współczesnością i wyznawania określonych poglądów politycznych czy ideologicznych, historyk powinien stosować się jednak zawsze do rygorów naukowego myślenia (...) rzetelność i bezstronność.

Do nader interesujących należą uwagi autora nad stylem i językiem prac historycznych. Wypadki, gdy dzieło naukowe jest jednocześnie komunikatem dla fachowców jak i atrakcją dla laików, jak np.

rzędnej, jaką jest dla mnie powszechność kultury humanistycznej w społeczeństwie socjalistycznym, zasady „interferencji” poszczególnej gatunków piśarstwa historycznego, ich wzajemnej, przyjaznej współpracy i świadomości wspólnoty zasadniczych celów. Następnie wskazuje na pozytywne rezultaty dalekiej od tendencyjności publicystyki milenijnej Bogusława Leśnodorskiego czy Konstantego Grzybowskiego oraz na wiele świetnych tomów Biblioteki Wiedzy Historycznej, które świadczą o przełamaniu barier między twórczością oryginalną a popularystyczną. Podobne myśli rozwija także Barbara Grochulska. To, że nastąpiło niełatwo do osiągnięcia zbliżenie między publicystyką historyczną a rozprawą naukową, między monografią popularnonaukową a zbeletryzowaną biografistyką (w rodzaju np. książek Mariana Brandysa), jest moim zdaniem osiągnięciem (...)

Z nader istotnymi uwagami polemicznymi wystąpiła także prof. Celina Bobińska stwierdzając, że droga historyka do poznania prawdy wiedzie przez zaangażowanie społeczne. To właśnie współczesność pobudza zwykle uczonych do atakowania nowych problemów i obszarów badawczych. Przeciwnością stała się również sugestia, zmierzającym do uformowania historii na wzór nauk ścisłych, wcielenia jej w zwężone raporty dla fachowców. Zdaniem prof. Bobińskiej tendencje takie mogłyby odciąć historię od jej źródła, jakim jest wymiana myśli ze społeczeństwem.

Racja tych wypowiedzi jest z pewnością bezsporna, ale... Ze stenogramem dyskusji sąsiaduje artykuł Alicji Gradowskiej, Henryka Kotarskiego i autorki ostatniej wypowiedzi prof. Celinę Bobińskiej, zatytułowany „O badaniach kwantytatywno-strukturalnych nad oporem antyfeudalnym wsi”. Artykuł nowatorski, krótki, który składa się głównie z wykresów i tabel z obliczeniami matematycznymi!

Oto niektóre tylko, wycinkowo i skrótkowo przedstawione problemy ostatniego zeszytu „Historii”. Odbijają jednak wyraźnie dylematy współczesnej metodologii historii. Postępująca specjalizacja i matematyzacja, wykształcanie się bardziej precyzyjnych metod i technik badawczych oraz swoistego języka naukowego, bez wątpienia sprzyja badaniom historycznym i podnosi je na wyższy poziom naukowy. Z drugiej jednak strony tendencjom tym towarzyszy szereg zjawisk niepokojących. Z przytoczonych wypowiedzi w dyskusji nad piśarstwem historycznym przebiegają uzasadniona troska i obawa, aby procesy te nie podcięły wielkiego, wspaniałego drzewa historii, wyrosłego na urodzajnej glebie odwiecznych zainteresowań ludzkości swą przeszłością. To przecież z warkłowego i szerokiego nurtu życia społecznego, politycznego, ideologicznego czerpała i czerpie historia swe soki żywotne, a dzięki ścisłemu związkiwaniu ze społeczeństwem zdobyła sobie uprzywilejowaną, choć bynajmniej nie wygodną pozycję na olimpie naukowym. Zasklepienie się w ścisłych badaniach, zamknięcie się w ciszy gabinetów naukowych, odgrózdzenie się barierą specjalistycznego języka, oznaczaloby naruszenie owej więzi, zahamowanie owego krwioobiegu.

To, że współczesna metodologia zdaje sobie sprawę z tych sprzeczności, dostrzega pewne niebezpieczeństwa i szuka najlepszych dróg wyjścia, jak np. propozycji Braudela, stanowi optymistyczną rękomię dla dalszych losów nauki historycznej.

Sprawy historyków

DYLEMATY METODOLOGICZNE

Wiesław Śladkowski

czyć. Rachunek może nas oświecić z wielu błędów, fantazji i iluzji. Zwraca dalej uwagę, że wiele badań socjologicznych nad współczesnymi procesami społecznymi, np. nad klasą robotniczą we Francji, nie może przynieść spodziewanych rezultatów bez równoległych badań historycznych. Historia jest w stanie wielokrotnie dostarczyć klucza do zrozumienia współczesności — twierdzi nie bez racji autor i pisze dalej: Ale przystępując do szukania tej historii żywej, która nas otacza, nie można ograniczyć się, oczywiście, do wypadków osobistych, chociażby były najbardziej interesujące czy zabawne. Wypada szukać nade wszystko tych głębokich pasm przeszłości, które przenikają w teraźniejszość, wokół których ona się osnuruje.

Stojąc na gruncie historii operacyjnej, odzucha jednocześnie autor dotychczasową definicję historii jako nauki o przeszłości. Historia, pisze Braudel, to studium społeczeństwa dawnych i dzisiejszych, rozpatrywanych wedle tej szczególnej zmiennej, jaką posługuje się historyk — truania.

Oczywiście, to tylko niektóre, zmierzające do odnowy historii, myśli tego interesującego bezspornie szkicu.

Drugą, jak wydaje się, ciekawą pozycją numeru są rozważania o różnych postaciach piśarstwa historycznego, będące pokłosiem dyskusji, jaka odbyła się na ten temat w środowisku warszawskim. Dyskusję poprzedziło obszernie zagajenie Jerzego Maternickiego. Na wstępie autor wyróżnił cztery podstawowe gatunki piśarstwa historycznego: naukowe, popularnonaukowe, literackie, publicystyczne. Największą popularnością wśród czytelników cieszą się zwykle literackie wizje przeszłości. Nadając rzeczywistości historycznej określony kształt artystyczny, nie troszczą się często o wierność dla prawdy historycznej. Również dla publicystyki historycznej kryteria poznawcze są, według autora, czynnikiem drugorzędny, a

książki S. Askenazego, A. Szelągowskiego, W. Sobieskiego czy W. Konopczyńskiego, uważa autor za wyjątkowe. Większość naukowej produkcji historycznej była i jest zbyt trudna, a nawet niedostępna dla szerszych kręgów czytelników. Proces ten będzie się pogłębiał. Współczesny historyk, korzystający często z ustaleń i metod socjologii, ekonomii, demografii, antropologii czy psychologii społecznej, siłą rzeczy jest zmuszony posługiwać się określonym aparatem pojęciowym i specjalistyczną terminologią, językiem hermetycznym, zrozumiałym wyłącznie dla fachowców. Przytaczając analogie z innych dziedzin wiedzy, powstanie i rozwijanie się takiego „sztucznego”, właściwego dla każdej nauki języka, uważa autor za proces naturalny i konieczny. Wyraża pogląd, że język taki pozwolił na publikację prac bardziej zwartych i krótkich, co w związku z rosnącą w zastraszającym tempie produkcją naukową będzie istotną zdobyczą. W tym stanie rzeczy ścisłe oddzielenie badania od popularyzacji jest więc konieczne.

Zadania i cele piśarstwa popularnonaukowego, według Maternickiego, są nader ważne. Na popularyzatorach historii ciąży obowiązek krzewienia wiedzy i kultury historycznej, pisanie o przeszłości w sposób rzetelny a zarazem dostępny, lekki, atrakcyjny, powabny, gdyż tylko takie książki mogą znaleźć uznanie i popularność wśród czytelników.

Tak ostro i wyraźnie sformułowane poglądy wywołały ożywioną dyskusję. Znany z imów „Życia Warszawy” Jan Górski stwierdził, że autor zagajenia aprobeuje w pełni rosnącą wciąż istotnie specjalizację i hermetyzację nauki historycznej, jednak nakreślony przez niego obraz ma charakter pewnego modelu, nie stanowiąc odzwierciedlenia rzeczywistości. Krytykując ów model, dyskutant broni w imię pewnej idei nad-

Podzwonne dla księdza Muchy

Dokończenie ze str. 1

Ksiądz Mucha przeżył wojnę i zdołał jeszcze odnaleźć się na kartach książki Wańkowicza. Nie przyznał się nigdy do zabicia własnego konia. Do końca życia zachował żal do autora za przedstawioną przezeń wizję odejścia z oddziału.

W 1960 r. inny reporter* odnalazł w odległej, prowincjonalnej parafii księdza Muchę. Na plebanii powitał go niewysoki, łysawy człowiek w sutannie. Nie osiągnął jeszcze sześćdziesiątki, ale wyglądał na znacznie starszego, zmęczonego już życiem. Kiedy rozmowa zeszała na hubalowe czasy, wystarczyło mu jednak dość energii, aby z pasją bronić swojej wersji tamtych wydarzeń:

... Wańkowicz pisze, że zastrzelili konia! Może to brzmia literacko. Dowiecnie. Ale to nieprawda. Koń został ranny przez Niemców. Potknął się. Padł. Biegłem po śniegu i wzywałem pomocy. Tereska zrobiła mi miejsce na siodle dopóki nie dał drugiego konia. Wańkowicz zrobił ze mnie wariatka. Bałem się. Pewnie, że się bałem. Czy ja

jeden? Można odgrywać bohatera bez lęku zbierając wiadomości o wojnie, trudniej być takim w pierwszej linii walki. Tak, po tamtej szarży, pod Młowem była ze mną kłapa. To prawda. Ale wszyscy byliśmy wyczerpani, głodni. Odzywaliśmy się... śniegiem. Dostałem wysokiej gorączki, zacząłem mijać. Tak, musiałem wtedy odejść. Ale w 1943 roku znowu poszedłem w las, ja — „wariat”, ja — „sam nabierany skondensowany strach”!

Jakże trudno musiało przychodzić księdzu Musze nosić na swych barkach ciężar pokory, tak zalecaną przez Kościół! „Biogostawieni cisi i pokornego serca...” Ile razy powtarzał napotykanym ludziom, jak wówczas temu reporterowi: „Ale major oceniał mój udział w oddziale. — Jak przeżyjemy — mawiał — dostanieś Virtuti, bo nie lada odwagę mieć trzeba, żeby przystać do takich jak my. I zabiorę cię z sobą do Nicei na zawody hipiczne. Dobrze nauczyłeś się skakać, katabasie!”

Czy brzmiała w tych słowach tylko dumna? A może... były one wypowiedziane także dla samouspokojenia? Może miały zagłuszyć myśl, że pisarz... jednak miał trochę racji?

Zostawmy to rozważania. Prawdy obiektywnej już się nie ustali, zaś prawdę subiektywną zabrał ksiądz Mucha ze sobą do grobu. Natomiast możliwy jest chyba do wyjaśnienia

inny mit, który przylgnął do postaci Muchy. On sam nigdy nie zabrał na ten temat głosu — może uważał za niestosowne poświęcać zbyt wiele uwagi własnej osobie?

Do literatury przeszedł w tym względzie jako skrzyżowanie walterowskiego „Prostaczka” ze świętym Franciszkiem z Assyżu — „z duszą otwartą na dobro, nie nie wiedzący o świecie i sprawach jego”. Biedny filipin, biedny natchniony nałwiniak. Bóg nie pozwolił mu jednak złożyć życia na ołtarzu Ojczyzny, bo niezależnie od duchowych walorów nie stronił przecież zacyt księżydo od kieliszka, a i w karciecie — Panie uchowaj — od czasu do czasu rznął z wojakami. I tak, dzięki panawankowiczowej wizji, powstał piękny, żywym barwami namalowany portrecik. Tyle, że spod farb nie zawsze widać na nim żywego człowieka.

Nigdy nie miałem pełnego przekonania do księdza Muchy z „Hubalczyków”. Był zbyt „literacko wyważony” i pełen wyrafinowanych „smaczków”. To moje uczucie potęgowało się, gdy krąg, który zaoczyłem sobie wokół jego postaci, zaczął się zacieleśniać.

Właściwie dawni Hubalczycy wiedzieli o nim bardzo niewiele. Z grona moich informatorów najdłuższy znał księdza Muchę leśniczy Żulikowski z Bielaw (który zresztą — jak już kiedyś pisałem — zaplanował pierwsze spotkanie księdza z Hubalem), bo jeszcze sprzed wojny, ale była to znajomość oparta raczej na przygodnych spotkaniach przy biesiadnym stole, a nie — wynikająca ze stałych kontaktów na płaszczyźnie zawodowej czy przyjacielskiej. Trzeba przy tym wziąć pod uwagę fakt bardzo znamienity: wbrew temu, co pisze autor „Hubalczyków”, w czasach swego pobytu w oddziale ksiądz Mucha wcale nie był młodzieniaszkiem. Dobelegał czterdziestki, był tylko o cztery lata młodszy od Hubala, a przeciętnie przynajmniej o czternaście lat starszy od większości żołnierzy. I jeśli już nawet nie „sukienka duchowna”, to bariera wieku oddzielała go w jakimś sensie od reszty oddziału. Z „katabasa” moż-

na się było wojskowym zwyczajem podśmiewać, trudniej przychodziło się z nim pobierać. Może dlatego zapisał się żywy w pamięci swych towarzyszy broni tylko wówczas, gdy w dwóch wspomnianych już, niezbyt chlubnych dla niego, wypadkach „wyskoczył” ponad przeciętność swojego życia codziennego. Tym łatwiej było później pozostałym przy życiu Hubalczykom uwierzyć w wańkowiczowską wersję księdza Muchy.

W sprawie księdza Muchy pisałem między innymi do dwóch księży, którzy swego czasu pozostawali z nim w bliskich kontaktach. Obydwa lсты pozostały bez odpowiedzi. Jest to jednak dość zrozumiałe. Kler troskliwie przestrzega zasady „nihil nisi bene” — szczególnie, gdy chodzi o ludzi w sutannach, a ja w dodatku zbyt wiele stawałem pytań, dotyczących także pozaklasztorznego życia ich konfratrów. A i klasztorne sprawy księdza Muchy musiały się przedstawiać nie najlepiej, skoro — znowu inaczej niż u Wańkowicza — przyszyły kapelan Hubalczyków wcale się nie wykradał chyłkiem z klasztoru do Hubala, ale, jak twierdzi leśniczy Żulikowski, ksiądz rozstał się z nim całkiem jawnie i jeśli nie z radością, to w każdym razie z uczuciem ulgi.

Najwięcej wiadomości o „prywatnym” życiu księdza Muchy dało mi dopiero przypadkowe spotkanie z jedną z jego znajomych, panią Matraczką z Radomia, która w 1939 r. była nauczycielką we wsi Ponikla i miała kontakty z Hubalczykami. Zapytałem ją między innymi, czy nie znała przypadkiem księdza Muchy. „Jak to, czy go nie znałam? — zdziwiła się. — Ależ znałam go doskonale, jak mało kto. Przez kilka lat, jeszcze przed wybuchem wojny, a także w pierwszych miesiącach okupacji, był w mojej szkole katecheta. Byliśmy w bardzo serdecznych, koleżeńskich stosunkach. Przychodził trzy razy w tygodniu z pobliskiego klasztoru księży filipinów w Poświętnem”.

Jeśli luki we wspomnieniu byłej nauczycielki z Ponikły uzupełnił się odpryskami wspomnień ludzi, którzy kontaktowali się z nim w oddziale, powstanie pewna konstruk-

cja, dzięki której można spróbować odpowiedzieć na pytanie: kim był i jaki właściwie był ksiądz Mucha?

W klasztorze w Poświętnem zamieszkał ksiądz Ludwik Mucha pod koniec lat trzydziestych. Urodził się na wsi kieleckiej, w biednej rodzinie chłopskiej. W szerokim świecie raczej nie był, w seminarium duchownym specjalnymi talentami się nie wyróżniał. Nie czuł też szczególnego powołania do stanu kapłańskiego, niektórzy twierdzą, że w ogóle poszedł do seminarium bez powołania, przymuszony do tego przez rodzinę starym argumentem, że „kto ma księdza w rodzinie, tego bieda nie ubodzie”. Ówczesny przełożony zgromadzenia, ks. Witke, polecił go na stanowisko katechety w szkole w Ponikle.

Maria Alberska (tak brzmiało panieńskie nazwisko p. Matraczkiej) przybyła do Ponikły w 1937 r. Młoda nauczycielka początkowo czuła się źle na tym odludziu. Tym bardziej, że była tutaj sama, poza oczywiście księdzem Muchą. Dużo starszy od niej „kolega” nie grzeszył wyszukany mi manierami, posiadał za to wiele wrodzonego taktu, był z natury uprzejmy i uczynny. Poza tym podobaly się Marii jego nieszablonowe poglądy na sprawy świata doczesnego i pozaziemskiego. Miał przy tym sporo fantazji. Między dwójkiem ludzi ustaliły się solidne, koleżeńskie odniesienia.

Ale to nie był jeszcze autentyczny ksiądz Mucha. Jeszcze się nie „zdekonspirował”, nie zdradził przed koleżanką ze swą starannie przed nią ukrywaną słabością. Ksiądz Mucha — pil.

Było to dla Marii Alberskiej wielkie zaskoczenie, gdy przypadkowo natknęła się na księdza, który przed lekcją, zaszyty w jakimś kacie, szybko wypróżnił wydobytą z kieszeni płaszczka „setkową” butelkęczkę wódki. Ksiądz zmieształ się ogromnie, ale nauczycielka potrafiła wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Powiedziała lekkim tonem: „Klecho wstrętny, przecież nie można tak — na czczo”. Ksiądz uśmiechnął się i również żartobliwym tonem odparował: „Zgoda, ale że na śniadanie spożywam z zasady tylko płyny, proszę o jedno surowe ja-

* Stanisław Wilkowiński — „Śladem Hubalczyka”, WTK Nr 23 z 17.VII.1960 r.

Piętnaście miesięcy wyrwanych z kalendarza

Dokończenie ze str. 1

wadzenia inwestycji do planu oraz zabezpieczenia środków na budowę. DIM była zdania — i też chyba słusznie — że jej zadaniem jest znalezienie wykonawcy robót i potem ich nadzorowanie — co też zrobiła. MRN zaś nie miała ani jednego pracownika do spraw kultury i uważała się tu — jak w wielu innych sprawach — tylko za figuranta, bo jeżeli nie dostanie środków od PRN, to sama jest biedna jak mysz kościelna. O najmniejszym etacie bez zgody wyższego szczebla może sobie tylko marzyć i to raczej nie w godzinach służbowych. Niektórzy uważali, że dom kultury powinny przejąć Azoty lub budowlani, nie dostarczając, że i tam są kłopoty etatowe, a dające pieniądze na budowę wcale nie oznacza, iż należy finansować również efekt.

30 września 1968 roku zebrała się dziewięcioosobowa komisja, która po dokładnym obejrzeniu — tak przynajmniej trzeba sądzić — budynku orzekła jednomyślnie: „inwestycja odpowiada przeznaczeniu i jest gotowa do użytku, wad żadnych nie stwierdzono”. Radość była ogólna, złożono więc zamasy podpisów i na tym się skończyło. Tyle, że na dokumentację pojawiło się po raz pierwszy słowo: użytkownik. To znaczy Wydział Kultury Prezydium PRN. Niby logiczne — gdyby nie małe „ale”. To „ale” wkrótce rozrosło się do rozmiarów przeszkody, której nikomu przez przeszło rok nie udało się przeskoczyć.

Otóż tenże Wydział, według wciąż obowiązującej uchwały Prezydium PRN z 1962 roku, powinien posiadać 4 etaty, ale posiadał i posiada tylko dwa. Dziury lata się pożyczaniem ludzi z Powiatowego Domu Kultury, jakiejś GRN czy Towarzystwa Przyjaciół Puław. Ludzie bardziej prawdomówni byłiby gotowi nazwać to po prostu dotacją owych placówek na rzecz PRN, gdyby władzy terenowej takie dotacje przystało przyjmować. Od końca grudnia ub. roku Wydział właściwie nie istniał bo zajęty był tylko jeden etat — kierownika, a kierownik był przez cały miesiąc na urlopie.

Alle sprawy etatowe Wydziału to margines, chociaż wcale nie tak wąski. Istota polega na tym, że Wydział Kultury w żadnym dotychczasowym dokumencie nie widniał jako użytkownik pechowego domu kultury. Owszem — sama nazwa zo-

bowiżywała Wydział do tego, że zajmował się on sprawą domu kultury, że zabiegał o wiele rzeczy, że zalał to i tamto — ale z braku podstawy formalno-prawnej nie czuł się w pełni odpowiedzialny za ten dom, a zwłaszcza za jego przyszłe losy.

Tak czy inaczej 19 października 1968 roku Wydział Kultury Prezydium PRN zwraca się na piśmie do tegoż Prezydium, że „nie posiada funduszy na zakup potrzebnego sprzętu, jak również nie posiada limitów i etatów na zatrudnienie pracowników, dlatego prosi o interwencję w powyższej sprawie”. I dodaje najpierw zgodzie ze stanem faktycznym, a potem niemal proroczo: „Budynek są nie opalane z powodu braku środków finansowych na zakup węgla oraz z braku palaczy. Obecny stan budynku bez żadnego nadzoru może ulec dewastacji poprzez zagrzybienie, odpadnięcie tynków wewnętrznych, jak również przez zniszczenie z zewnątrz, spowodowane wyburkami chuligańskimi”.

Ponieważ ten raczej dramatyczny list nie wywołał żadnej reakcji, list podobnej treści wysłano do Prezydium WRN, skąd udało się sprowadzić część członków komisji kultury, co jednak w niczym nie zmieniło sytuacji.

Prezydium PRN mimo milczenia czuło się co najmniej zażenowane, aby więc jakoś zaradzić sytuacji, podjęło 19 grudnia 1968 roku kolejną uchwałę. Powołując się więc aż na dwie ustawy i jedną uchwałę Prezydium WRN w Lublinie, „postanawia przekazać w administrację Prezydium MRN w Puławach nowo zbudowany budynek Domu Kultury przy ul. Partyzantów. Wykonanie uchwały zleca się Wydziałowi Kultury Prezydium PRN i Prezydium MRN”.

Tak więc władze powiatowe formalnie pozbyły się kłopotu, wojewódzkie nadal milczały, a miejskie stały bezradne przed więcej niż kłopotliwym prezentem. Bo temu prezentowi nie towarzyszył ani jeden etat, ani jeden grosz na działalność merytoryczną. Lojalnie trzeba przyznać, że podobna figa na działalność władze powiatowe otrzymały od władz wojewódzkich.

No i stało się. Wprawdzie w grudniu i w styczniu znaleziono trochę pieniędzy na opał i palacza, ale w połowie stycznia 1969 roku coś pękło. W przenośni i dosłownie.

Jedni twierdzą, że przyczyną były niedbale wykonane instalacje. Inni, że to palacz zbyt rozparił piec i poszedł sobie. Są jeszcze inne wersje. Dość, że woda zalała kilka pomieszczeń, że zaczął opadać tynk, że parkietowa podłoga zamieniła się w tatrę, że przestała działać instalacja oświetleniowa. W trybie nadzwyczajnym więc zwołano komisję, która sporządziła dość długą listę zniszczeń, uszkodzeń i braków. Te ostatnie zdają się obciążać budowlanych — mimo optymistycznego protokołu odbioru robót z końca września. Może zresztą projektantów — rzecz do zbadania przez fachowców.

Nie od razu przystąpiono do usuwania szkód i uzupełniania braków. Limity, pieniądze, wykonawcy — ustalenie tego wszystkiego wymagało wielu zabiegów, uzgodnień, a przede wszystkim czasu, który nieubłaganie zrywał kartki z kalendarza. Co gorsza, okazało się, że nadal są poważne trudności ze znalezieniem użytkownika puławskiego domu kultury. Nikt nie chciał przyjąć obiektu, bo nikomu nie dawano na to środków. W dodatku remont — remont nie używanego jeszcze budynku — przebiegał raczej słabozarnie. Zresztą nie jest ukończony do dnia dzisiejszego. W mieście opowiadano mi, że wartość szkód w budynku wynosi około miliona złotych. Trzeba to sprostować — fachowcy oceniają je na 250-300 tys. zł.

Rozwiązano jednak rzecz najważniejszą — jest użytkownik, który — jak się wydaje — może wreszcie przekształcić martwy budynek w pulsujący życiem dom kultury. Użytkownikiem tym są Zakłady Azotowe. Z dniem 1 stycznia br. przyjęły one budynek w faktycznym użytkowaniu. Wprawdzie trwa jeszcze remont, uzupełnia się różne braki, sprzęt dopiero się kompletuje, a oficjalnie otwarcie przewiduje się gdzieś w początkach czerwca, z okazji Dnia Chemika — ale w pustym i niszczącym od 15 miesięcy gmachu już się coś dzieje.

Myślę jednak, że na tym optymistycznym akcentcie poprzestać nie można. Jak wiemy, nasze województwo nie cierpi na nadmiar inwestycji o charakterze kulturalnym. Ołbrzymie zaległości z okresu międzywojennego i wcześniejszych, wciąż rosnące wymagania nas wszystkich, nowe formy masowego

upowzechniania wszelkich przejawów kultury — wszystko to sprawia, że każdy nowy obiekt jest niezwykle cenny. W niezwykle szybko rozwijających się Puławach był on na wagę złota. Swoją działalnością bowiem miał się przyczynić do szybszej integracji mieszkańców. Jednym miał dać możliwość twórczego, nie zawsze tylko amatorskiego działania w dziedzinie muzyki, tańca czy plastyki — innych poprzez te imprezy, książki, prelekcje miał odciągnąć od nudy, alkoholu, chuligaństwa. Bliskie sąsiedztwo hoteli robotniczych, zamieszkałych przeważnie przez młodych ludzi, podkreślało szczególnie jego rolę w środowisku.

Rachunek szeroko rozumianych strat kulturalnych jest długi. Tego już odrobić się nie da, ani zwiększoną ilością zespołów, ani podwójną porcją imprez. I ten właśnie rachunek szczególnie obciąża tych, którzy są winni całej sprawie.

Jest i drugi rachunek — strat czysto materialnych. Ile to wyniosło, będziemy wiedzieli zapewne dopiero w marcu. Jak dotychczas, straty te pokrywamy z pieniędzy społecznych, naszych. Bo nie jest rzeczą najważniejszą, czy zostaną zaksięgowane w Dyrekcji Inwestycji Miejskich, Zakładach Azotowych, Powiatowej lub Miejskiej Radzie Narodowej. Nikomu z nas nie wolno marnotrawić pieniędzy społecznych. Sprawa NIK-u czy innych jednostek kontrolnych jest ustaleniem winnych, a potem wyłączenie wobec nich przewidzianych prawem konsekwencji.

Alle istnieje jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Na podstawie kilkunastu rozmów, przeprowadzonych w Puławach, mam prawo twierdzić iż ujawniają się już w niektórych wypadkach tendencje do usprawiedliwienia tego 15-miesięcznego „przeostaju” domu kultury. Jakaś rzekomo wyższa siła — nie dali etatów. To prawda, że nie dali i po szczelach administracyjnej drabiny można w ten sposób dojść na różną wysokość. Nie można jednak zgodzić się z takim fatalistycznym powiedzeniem — nie dali. Kto? Dlaczego? Nie jest rzeczą możliwą, aby państwo jedną ręką dawało pieniądze na budowę obiektu, a drugą wstrzymywało środki na wykorzystanie tego obiektu. To nie wina państwa czy abstrakcyjnie rozumianego mechanizmu administracyjnego, ale konkretnych ludzi, uruchamiających poszczególne tryby czy dźwignie tego mechanizmu.

Nie tylko tradycje sprawiły, że Puławy w dziedzinie kulturalnej zajmują jedno z czołowych miejsc w województwie. Poza tą tradycją mamy w powiecie 6 domów kultury, 6 muzeów, 33 kluby Ruchu i Rolnika, 42 różne zespoły, 11 stowarzyszeń kulturalnych, liceum plastyczne, ognisko muzyczne, teatr leśny. Od kilku lat organizowane są głośne już w całym kraju festiwale lalkowy i kapel ludowych, jest Puławska Wiosna Muzyczna. Myślę, że właśnie ze względu na

ten piękny dorobek sprawa nie-szczęsnego domu kultury przy ul. Partyzantów powinna być szczególnie wnikliwie zbadana.

I jeszcze jedno. Rozpoczęto już budować piękny Dom Chemika, ma on być gotowy w 1974 roku. Oddanie do użytku tego reprezentacyjnego obiektu stanowić będzie nie tylko dla Puław, nie tylko dla powiatu, ale dla całego Puławskiego Okręgu Przemysłowego moment przełomowy. Termin wcale nie jest tak odległy i sądzę, że już dzisiaj trzeba zastanowić się, a jutro, najdalej pojutrze, ustalić, jak w konsekwencji podzielić i wykorzystać wtedy całą istniejącą bazę materialną puławskiej kultury.

Uruchomienie Domu Chemika niewątpliwie spowoduje, że Zakłady Azotowe zrezygnują z obecnie przejętego domu kultury. Jaka rolę będzie on pełnił potem? W liście Wydziału Kultury Prezydium PRN do Prezydium MRN z 12 grudnia 1968 roku znalazłem dość konkretne propozycje. Do tego budynku miałyby się przenieść obecny Powiatowy Dom Kultury, zaprzestając — na rzecz Domu Chemika — działalności środowiskowej, podejmując natomiast na szerszą niż dotąd skalę działalność instruktażową dla powiatu. Obecne pomieszczenia PDK miałyby przejąć Ruch, uruchamiając tam tak potrzebny Klub Międzynarodowej Prasy i Kalążki.

Projekt wydaje się słuszny, chociaż, być może, zrodził się jeszcze lepszy. Rzecz w tym, aby na czas o wszystkim zdecydować. Dyrekcja klubów MPIK etatów w ostatniej chwili z rękawa nie wytrząśnie, a roczny czynsz dzierżawny w wysokości 100 tys. zł też nie należy do najmniejszych wydatków. O tych i innych problemach, wylaniających się już dzisiaj w Puławach, trzeba zdecydować nie w ostatniej chwili, nie metodą straży ogniowej. Aby nie powtórzyła się w takiej czy innej wersji sprawa domu kultury przy ul. Partyzantów.

Jerzy Dostatni

Cyprian Czernik Staruszki

Oto dwie staruszki przysiadły na murku. Wyrzewują kości, gapią się za chmurką.

Spotykają się co dzień nie bez ważnych przyczyn. Rozmawiają ze sobą od lat już o niczym.

To w półsen zapadną, to wół lip wdychają. Gawędzą ciekawie, ust nie otwierając.

Kraków

jęczko”. Od tej pory nie było już między nimi tajemnic i niedomówień.

Dziwny to był człowiek, ten ksiądz Mucha. Ludzie lubili go, czuli, że jest jednym z nich. Pochodził z chłopów i chłopem pozostał. Nie cierpiał pruderii, nigdy nie przybierał świątobliwych poz. Co mu jeszcze większą zjednywało sympatię to fakt, że nie wierzył... w piekło. Był człowiekiem dobrym z natury i wierzył w dobro.

Maria Alberska często była zapraszana na przyjęcia do leśniczkówki Żulkowskich na Bielawach, lub do leśniczkówki Wróblewskich w Debie. Zwykle na takie przyjęcia „urywał się” z klasztoru także ksiądz Mucha. Z nastaniem zmróku furtę klasztorną zamykano na głucho, ale on miał swoje sposoby wydobycia się na zewnątrz. Któregoś razu rozochoceni biesiadnicy zaczęli przygadywać księdzu, że pijąc tyle — a pito owego wieczoru ostro — nie zdola już odmówić brewiarza. „Co tam brewiarz — załotał Mucha — jedyne, co mnie niepokoi, to myśl, czy ksiądz przelozony nie odkrył sznura, który sobie z okna cell spuściłem, żeby było łatwiej wracać”.

A więc birbant i letkiewicz? Jak to jednak pogodzić z faktem, że już w pierwszych miesiącach okupacji — gdy wrócił z parafii Białaczewo, gdzie zaskoczyła go inwazja niemiecka — zaczął zbierać pozostałości magazynów w klasztornych podziemiach? Ze, aby pomóc najbardziej potrzebującym, podkładał żywność z bogato zaopatrzonej spiżarni filipińców? Ze zdecydował się przystać do Hubalczyków?

Pewnego razu, było to już po świętach Bożego Narodzenia 1939 r., zjawił się w szkole w Ponikle. Przyszedł się pożegnać. Oświadczył, że „wstępuje do partyzantki. Idę do tych ludzi, w las, bo czuję, że to mój żywioł”.

Wydało się, że i decyzja o wstąpieniu do Oddziału Wydzielonego i przytoczona wyżej wypowiedź księdza Muchy są bardzo istotne dla właściwego ocenienia jego postaci.

Szedł, żeby służyć ojczyźnie, ale zarażenie uciekał od życia, do którego nie potrafił się przystosować. Sądzę, że jego skłonność do traktowania życia niezbyt serio, pozorne „letkiewiczostwo” i nawet słabość do alkoholu były nie tyle przyrodzonymi cechami księdza, co wynikały z nabrzmiałego w owym okresie uczucia buntu przeciwko życiu, na jakie się kiedyś zdecydował. Myślę, że każdego księdza nachodzą takie chwile buntu. I każdy reaguje na nie w inny sposób. Ksiądz Mucha nie potrafił się zdobyć na rzucenie sutanny — zbyt głęboko tkwił w tradycji religijnej wyniesionej z domu — nie mógł jednak również stłumić w sobie uczucia protestu. Wybierał więc drogi pośrednie. I kiedy nadarzyła się owa najwłaściwsza, jego zdaniem, droga pośrednia — poszedł do lasu. Trzeba przy tym jeszcze raz podkreślić, że wcale to nie podważa pobudek patriotycznych, jakimi się ksiądz Mucha kierował. Po prostu do oddziału Hubala szedł równocześnie dwiema drogami.

O samym przybyciu księdza do oddziału pisałem już w reportażu — „Pamiętna noc”. Spotkanie z Hubalem odbyło się w leśniczówce na Bielawach, położonej niespełna dwa kilometry od Poświętnego. Funkcję kapelana utworzono w oddziale w pierwszych dniach stycznia 1940 r. Ksiądz Mucha miał odtąd przebywać wśród Hubalczyków równo przez trzy miesiące. Przez większą część tego czasu obecność kapelana nie dawała o sobie znać w oddziale. Może tylko fakt odprawienia mszy połowej w Gałkach Krzeszowskiach wzbudził wśród żołnierzy większe zainteresowanie jego osobą. Hubal trzymał księdza przy sobie, grywał z nim w brydża, nazywał żartobliwie „Pyrką”. Dopiero w bitwie pod Huciskiem, a następnie pod Szalassami, rzuciło się w oczy wielu żołnierzom, że ksiądz do najważniejszych nie należy. Ratował się przed uczuciem strachu znanym zresztą żołnierzom sposobem, zaglądając — może tylko części — do butelki. Czy to jednak takie dziwne? Ostatecznie prochu nigdy przedtem nie wahał. A w swym strachu poza dopuszczalne

honorem granice jednak się nie posunął. Lecz ludzie młodzi szybko stawiają zbyt pochopne oceny.

Potem przyszło przebijanie się z okrażeń i sławetna szarża przez szosę Odrowąż — Samsonów (2-3 kwietnia 1940 r.). Ubito podczas niej dwa konie: tego, na którym jechał Romuald Rodziewicz, i tego, na którym — ksiądz Mucha. Koń kapelana otrzymał postrzał w głowę, a że już do Muchy przylgnęło wcześniej miano tchórzliwego, najbardziej „logiczne” było, że zamiast w Niemców, ksiądz kule ze swego visa pakował w łeb własnemu koniowi. Mógł też ktoś, w ogólnym zderzeniu w owym czasie, wymyślić taką historię dla rozładowania napiętej sytuacji. A że historia była efektywna, szybko i na trwałe obrosła legendą.

W kilka dni później chorego księdza pozostawiono w gajówce Zabrody pod Oleszmem u Stanisława Włodarskiego, a resztki konnego oddziału z Hubalem na czele pociągnęła wzdłuż Pilicy prosto na północ, znowu w pobliże klasztoru w Poświętnem, gdzie miał się rozegrać ostatni akt życia Majora.

Odtąd, aż do końca wojny, żaden z Hubalczyków nie natknął się na ślad księdza Muchy.

On tymczasem przewieziony do majątku Lachowskich w Pobrzu, dochodził tam przez kilka tygodni do zdrowia, a następnie, dowiedziawszy się o rozbiłku oddziału, wrócił w rodzinne strony i tam przez trzy lata ukrywał się.

Alle w połowie 1943 r. ksiądz Mucha znowu poszedł do partyzantki. Działal najpierw w oddziałach krakowskiego „Zelbetu”, w rejonie Ojcowa, a w połowie września roku 1944 w słynnym batalionie „Skala”, wywodzącym się z oddziałów krakowskiego Kedywu. Musiał być bardzo emocjonalnie związany z czasami hubalowej partyzantki, skoro używał niezbyt przecież efektywnego pseudonimu — „Pyrka”.

W 1959 r. odwiedziłem w Krakowie dowódcę 2 kompanii batalionu „Skala”, kapitana „Powolnego” — Ryszarda Nuszkiewicza. Kiedy zażyłem o księdza Muchę, rozżal się: „A któż by go nie znał! Panie, jak ten człowiek potrafił się bać!” A potem spoważniał

i dodał: „Ale cenilem go zawsze bardzo. Bać się i przewycięzać strach, to świadczy o charakterze. To był bardzo zany Polak i bardzo twardy człowiek. Był „zawzięty” na siebie, tak jak tylko potrafią być zawzięci chlapi”.

Z pierwszą czołową radziecką ksiądz Mucha przystąpił się do Krakowa. Na krótko zaczął się przy jakichś krakowskich księżach. Ale odwykił już od spokojnego, statycznego życia. A może nadal gonil za „swoim żywiołem”, bo wkrótce, jako jeden z pierwszych, wyruszył na Ziemię Zachodnią, objął parafię w Łądku Zdroju. I tutaj zresztą nie mógł się dopasować do wymaganych od niego powinności. Podobno miał zatargi z kościelnymi władzami zwierzchnimi na temat swego „czasowego” pobytu na tych terenach.

Grób księdza Muchy znajduje się na cmentarzu we Wrocławiu. Obok imienia i nazwiska kazał sobie na nagrobku wyrzeźbić napis, że należy do grona żołnierzy majora Hubala.

Rozstał się jednak z księdzem Muchą, gdy jeszcze jest wśród żywych. Ostatnie lata spędził w niewielkiej wsi Drzewce koło Wachowy w Poznańskim, na plebanii stojącej w cieniu pięknego czternastowiecznego kościoła pod wezwaniem błogosławionego Szymona z Lipnicy. Pod koniec życia pogodził się ze swoim losem. Był już stary, zmęczony. Nikt tutaj, we wsi, ani by pomyślał, że kiedyś, bardzo dawno temu, miał chwile zwątpień i buntów, że próbował leczyć je także alkoholem. Tutaj znano go jako abstynenta.

Jedyny wywiad, jakiego w życiu udzielił, kończy się tak: „Starych drubów z wdzięcznością wspomniam, za pomordowanych w Gałkach i Huciskach pacierze codziennie odmawiam”.

Ot, życie jednego z Polaków...

Mirosław Derecki



Nigdy dotąd nie publikowane zdjęcie Hubalczyków. W pierwszym rzędzie, pierwszy z lewej — kapelan oddziału, ks. Ludwik Mucha, Gałki Krzeszowskie, luty — marzec 1940 r.

Ze zbiorów T. Kawki

Kamena str. 7

Z nowych prowokacji artystycznych

Maria Bechciz - Rudnicka

LUBELSKI „Gong 2”, jeden z czołowych dziś polskich teatrów studenckich, zajmujący niepoślednie miejsce na festiwalach międzynarodowych, wystąpił ostatnio z premierą, którą można uważać za nową osiągnięcie, skoro biorąc pod uwagę w teatrze jest ważność tematyki, świeżość inwencji formalnej i sprawność wykonania.

Gdy się rzuci spojrzenie na spis dwudziestu ceterach już inscenizacji „Gongu”, dostrzeżenie się przede wszystkim, że przy całej różnorodności używanych środków wyrazu oblicze idealowe akademickiego teatru UMCS zarysowuje się coraz wyraźniej. W swej linii rozwojowej „Gong 2”, zdeklarował się zdecydowanie jako teatr polityczny, reagujący ostro na aktualne wydarzenia międzynarodowe, które wstrząsają światem. Nie pozostawiała co do tego wątpliwości niedawna inscenizacja „Wietnam ukrzyżowany”. Niejako dalszym jej ciągnięciem ideologicznym są obecnie realizowane „Wyznania mordercy”, przypominające o pozycjach „Kongo-Müllera” w latach 1964-65, pozornie awanturniczych, a przecie zaplanowanych gdzieś na wyższym szczeblu.

Nie ignorując specyfiki afrykańskiej, scenariusz Andrzeja Rozhina podkreśla expressis verbis związki awantury kongijskiej z ogólnymi celami porozumienia NRF — USA w sprawach polityki światowej, akcentuje analogie metod stosowanych w Wietnamie, nawiązuje do doświadczeń nawalcy hitlerowskiej i zwraca uwagę widza na odradzające się zagrożenie.

— Działalność w Kongu — powiada Siegfried Müller — to operacja, którą broniemy Europy przed komunizmem.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że w pewnym konkretnym przypadku, idąc za czyjś zawołaniem, mógłby pan pewnego dnia wykorzystać swoje zdolności (czytaj: militarne M. B.-R.) także w Niemczech?

Müller: W każdym kraju przynależnym do Zachodu, nie tylko w Kongu, ale w każdym kraju!

— Od strony formalnej „Wyznania mordercy” — to widowisko, które potrafi utrzymać uwagę widza w napięciu, obywatela się bez rygorów usankcjonowanych tradycją teatralną. Rozhin należy do kategorii nader odważnych burzyści dawnych konwencji.

— Fabuła? — Czy naprawdę nieodczuwa? Zwyczajnie podyskutujemy.

— Czas? — Czasem się pożongluje.

— Miejsce? — Czarne ławki, na których zasiadacie.

— Ale jednocześnie, jednocześnie akcji... Jak właściwie określić tę formę?

— Czy musicie określać? Patrzenie i słuchanie, zobaczmy, co z tego wynika.

Tę rozmowę wyobraziłam sobie post factum. W rzeczywistości było tak, że gdy wszedłam do nowej, kameralnej sali „Gongu” (Studio 70), wzrok mój zrazu utonął w czerni, a słuch czepił się gniewnej melodii, którą zaintonowała dziewczyna usadowiona w pobliżu pianina, jakoś „kontrowersyjnie” do niego. I potem sprawa zaczęła się gwałtownie rozgrywać na zasadzie łańcucha szoków. Istotnie, cóż z fabułą sceniczną? Może trzyma to wszystko w kupie sensacyjna biografia Müllera? Ale skąd! Biografia jest pokazowana i przetwarzana pytaniami tak, że w końcu zamiast akcji pozostają fakty dokonane, które wyławia się z narracji, bynajmniej nie płynnie. Pytania, pytania... A przecie reportaże to też nie jest bo i gdzie tu reporter? Zarówno widza, jak Müllera, atakuje we wszech stron cały zespół osób, których tożsamość ulega permanentnie przestoczeniu się. Ta, co była przed chwilą żoną Müllera, nagle zamienia

się w indagatora nagabującego go niewygodnymi pytaniami, jeden dziennikarz z zaciekłym reporterskim naraz gubi się w tłumie demaskatorów. I właśnie te przemiany gotują widziowice coraz to nowe niespodzianki (największe wrażenie robi wspaniałe natarcie z tyłu „Liberté? Egalité? Fraternité?”).

Owe zaskoczenia akustyczne i wizualne całkiem skutecznie wciągają widownię w „dzianie się” teatralno-dydaktyczne, toteż zbędne mi się wydają szkolarskie pytania kierowane na wrywki do poszczególnych widzów, niejako ich — że użyję starego terminu Gombrowiczowskiego — upupiające.

Ten mechaniczny sposób nawiązywania kontaktu z publicznością, praktykowany dziś tu i ówdzie w teatrach zawodowych, przynosił mi na pamięć Petersburg początku stulecia, gdzie dokonywano wówczas prób tzw. likwidacji rampy, z których żartowała słynna pisarka-satyryk Tefli, opowiadając: Wychodzi aktor na scenę i woła: Duraczo, pluj na was! — Od duraka słyszym — wieszelo gudit w otwot publika... I pomyśleć — po tylu latach „uraganie publiczności” jest znów bardzo modne, przekonaliśmy się o tym na MFFTS we Wrocławiu.

No, ale żart żartem, a poza tą jedną uwagę wszystkim powiedziame wyżej o „Wyznaniach mordercy” ma w intencji pochwałę eksperymentu, pochwałę „Gongu 2” i pochwałę Andrzeja Rozhina, kierownika artystycznego teatru UMCS, reżysera oraz częstokroć autora realizowanych scenariuszy. Wszakże trzeba chwalić nieustannie przypominanie bolesnych problemów naszego trudnego czasu i wytrwałe poszukiwanie odmiennych środków ekspresji. Bo to, co chce pokazać Rozhin, cechuje zawsze świeżość, pomysłowość. Inszenizację dyskusji zademonstrował na festiwalu wrocławskim m. in. choćby zespół Dąskie Studentenscene z Kopenhagi czy też zespół holenderski („De Zingende Tractor z Wageningen”), lecz żaden z nich nie potrafił w tym stopniu, co Rozhin, wyżyć się dydaktycznej drętwości, wprowadzając wręcz żywiołowy ruch aktorski i wszelkie uzasadnienia.

Niby poszczególne elementy zastosowanej teatralizacji były już od dawna w użyciu, zarówno teatru studenckiego, jak zawodowego, ale u Rozhina zostały one odświeżone za pomocą własnych nowych zestawień. No i... w miarę postępu niniejszych rozważań, zdaje się udało mi się dociec, na jakiej jednostki opiera się ten „mobil” teatralny „Gongu 2” — „Wyznania mordercy”. Oczywiście na czystej linii ukierunkowania ideowego.

Cieszę się także, że zespół „Gongu 2” wzbogacił się nowymi młodymi talentami. W skład zespołu wykonawców wchodzi: Kazimierz Bryk (Kongo — Müller), Anna Grelk, Anna Kwaśniewska, Ewa Labuska, Elżbieta Orzechowska, Anna Seweryn, Elżbieta Skrzyżkowska, Grażyna Stefanek, Jerzy Filip, Marek Kruszyński, Hubert Rogoziński, Stanisław Dzielski (skrzypce).

Na odpowiednim poziomie są również teksty piosenek Franciszka Piątkowskiego, muzyka Marka Kruszyńskiego, fotogramy Andrzeja Polakowskiego, światło i dźwięk Czesława Dziemidoka, scenografia Leszka Madzika — raczej, że tak powiem „salografika”, ponieważ cała sala jest odpowiednio spreparowana, by oddziaływać na widza prowokująco i nie co go przestraszyć. Oj, nowatorzy, nowatorzy — w Lublinie, w całej Polsce i za granicą! Mówicie, że nie wolno „przeżywać” w teatrze, a strach to nie przeżyje?

Tak czy owak „Wyznania mordercy” na pewno przyczynią się do rozważań ideowych i formalnych. Dobra robota. W ogóle Lublin miał w ostatnich miesiącach kilka interesujących „prowokacji”. A więc prowokacja „Gongu 2”, prowokacja Filharmonii (występ Zespołu WM 2), prowokacja BWA (zdarzenie audiowizualne „phantasma”). No i prowokację przygotowuje wreszcie na koniec lutego Teatr im. J. Osterwy. Będzie to premiera „Aktu przerywanego” Różewicza w pomysłowej inscenizacji Kazimierza Brauna.

Rodzice

czy państwo?

Dokończenie ze str. 3

szerzej rozumiane — wydaje mi się potrzebą palącą. Złe jest bowiem, gdy na przykład rodzice „watydy się” oddadzą dziecko upośledzone do zakładu specjalnego. A żadnej sankcji ustawy tutaj nie przewidują.

Nie oznacza to, że system profilaktyki, czy w ogóle przeciwdziałania przestępczości nieletnich, jest u nas dopiero w powijakach. Przeciwnie — jest rozwijany. Zasadę stanowi właśnie profilaktyka i środki wolnościowe; postępowanie represyjne, zakłady wychowawcze i poprawcze — jako ostateczna konieczność.

W tym systemie ważne ogniwo stanowi milicja. Poza normalną służbę patrolowo-obchodową niezwykle istotną wydaje się rola dzielnicowych. W lubelskim sądzie dla nieletnich twierdzą, że ciagle podnosi się poziom opiniowania i rozpoznania przez dzielnicowych dzieci i młodzieży zagrożonej moralnie. W Lublinie działa też milicyjna izba dziecka inwigilująca uciekających domowych, dzieci włóczące się, niekoniecznie, oczywiście, element przestępczy. Sprawdzanie sytuacji rodzinnej i szkolnej jest pierwszą czynnością w takich przypadkach. Grupa studentów lubelskiego SN-u współpracuje z izbą w tym zakresie. Funkcyjnariusze MO odbywają spotkania z młodzieżą szkolną i gronem nauczycielskim, prowadzą rozmowy i posadanki.

W latach 1967-1968 organa MO w województwie skierowały 2416 wniosków do rozmaitych instytucji o pomoc materialno-opiekuńczą oraz 2412 wniosków o pomoc dozna dla nieletnich. Prace MO utrudnia niekiedy zbyt małe zaangażowanie instytucji powołanych do organizowania wolnego czasu młodzieży i roboty kulturalnej na tym odcinku. A przecie trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że nie jest zadowolonymi milicji wyreczanie odpowiednich organów w tzw. zadaniach opiekuńczo-wychowawczych!

Przy każdym sądzie powiatowym istnieją sądy opiekuńcze interwencyjne w tych wypadkach, kiedy nieletni jest zagrożony moralnie wskutek nieodpowiednich warunków wychowawczych, o czym najczęściej informuje MO. Toczona jest tu rozprawy m. in. o pozbowienie władzy rodzicielskiej.

Sądy dla nieletnich, których mamy w województwie pięć (Lublin, Puławy, Łuków, Zamość, Chełm) i których rozprawy odbywają się przy drzwiach zamkniętych (ze względu na oazywistych), posiadają do dyspozycji środki wychowawczo-poprawcze. Przede wszystkim — wolnościowe. Spośród spraw toczących się w 1968 roku 38,9 proc. nieletnich oddano pod nadzór kuratora sądowego, 30,6 — pod nadzór rodziców, 15,8 — skierowano do zakładu poprawczego (z zawieszeniem), 7,1 — ukarano upomniennem, 4,5 — umieszczono w zakładzie poprawczym, 3,1 — w zakładzie wychowawczym. Trudność w tym tylko, że na Lubelszczyźnie brak zakładu wychowawczego (dopiero będzie budowany w Opolu Lubelskim w roku 1971 lub 1972). Pobyt w domach dziecka czy w pogotowiu opiekuńczym nieletnich, oczekujących na miejsce w zakładach wychowawczych z innych województw, jest rozwiązaniem jedynie doraźnym. W gestii sądów dla nieletnich leżą też wczasy dla podopiecznych, obozy wakacyjne, akcje choinkowe, odczyty etc. Ale znów nie jestem pewny, czy to właściwszym rozkład kompetencji. Nie zawsze też jest dobrze za współpracę sądów i szkół. Zaniechano na przykład środowiskowych narad nauczycieli, którzy uczestniczyli w rozprawach sądowych.

Na ogół jednak system zdaje egzamin. Tylko około kilkunastu procent nieletnich, objętych kuratelą wymiennych czynników wychowawczych, w sposób zdecydowany marują się. Mniej natomiast ciężko, iż to w głównej mierze zasługa Instytutów państwowych, nie zaś zwykłych rodziców.

Maciej Podgórski

Polemiki

„Słalom przez Radom”

KORZYSTAJĄC z pięknej zimy i doskonałych warunków śniegowych p. red. Ireneusz J. Kamiński urządził sobie „słalom” po zyciu kulturalnym naszego miasta (Kamena nr 25/1969 r.). Osobliwy by to staranek! W słownym sędziwie z lubelskiej Wyznania Mordercy autor pędzono ominiął co celniejsze bramki, uziębienie ofiarnej pracy radomskich działaczy kulturalnych, trafiając jedynie na mudy i upoje. Rzeczywiście widać tych wbojbi jeszcze istnieją i autor słusznie zwraca na niektóre uwagi. Skrytykowanie szaleństwa przed zamknięciem zbiornikiem przepięknie na rynku nie przynosi na pewno chwały miastu, jak również niejedno można by zmienić w działalności, prowadzonej w tzw. Estere.

Leżąc czy jednym celem wizyty red. I. J. Kamińskiego było omikanie bramek i podskakiwanie na wybojach oraz stądowanie rubryki przestępstwa kryminalnych w lokalnej prasie? Czy można, pisząc o zyciu kulturalnym miast, pominiąć społeczną pracę członków orkiestry symfonicznej, działających od wielu lat i cieszących się ogromnym uznaniem, rezultaty wieloletniej pracy radomskiej „Rydakowicy”, Orkiestra Plastycznego „Białokamińskiego Towarzystwa Naukowego itd.? To przecie też przejawy życia kulturalnego miast, które nie ograniczają się do kłosa z piem przy ul. Malcewskiej! Zdajemy sobie doskonale sprawę z wielu niedociągnięć, ale również potrafimy ocenić rezultaty pracy ludzi, którzy od czasu ich starania się podnieśli poziom kultury w Radomiu.

Kamena str. 8

blizkami, które na sugerują nikomu wieszczenia „zskoda jednak, że u nas nie Watou!”

Jedyna wzięta gabiola przy murach miejskich na ul. Walozej jest informacją o prowadzonych pracach konserwatorskich, lecz to widać nie rzuciła się w oczy p. redaktorowi, gdyż i naczelnik nie wspomniał ostatnio akapii swojego czasu, który pełen jest — mówiąc delikatnie — nieporozumień. Krytykując prace konserwatorskie przy murach obronnych kołczy inwokację „...złaka my na opinie wojewódzkiego konserwatora zabytków w Kielcach”. Widocznie nikt z przypadkowych i anonimowych informatorów nie ujął fakt, że prace te są prowadzone właśnie z funduszy tegoż konserwatora zabytków w Kielcach. Zabierając głos w tych sprawach ujmując postulatowania godną ignorancją, m. in. pisząc, że istniały „trzy kurtyny murów obronnych”. Radzę spojrzeć do „Słownika terminologicznego sztuk pięknych”, gdzie ten termin na s. 284 jest objaśniony. Natomiast muru radomskiego były dwukrotnie nadbudowywane i zachowane odcinek przy ul. Walozej posiada trzy kolejne zrujnowane (podłożone białkami), i prosty parapet ze strzelnicami, co w Polsce jest wyjątkową rzadkością. Pisze też dalej, że „spore odcinki muru nie przewyższają 50 cm”. Guźter! Te fragmenty, które oceniły ul. Walozej, ul. Reja i ul. Ruską) mają niemal pełną wysokość, natomiast w pozostałych partiach zachowały się tylko fundamenty. Gdzie te 50 cm?

Pisze następnie, że cała impreza, podjęta z wielkim staraniem przez miejscowy Klub Młotników Radomia i Ziemi Radomskiej przy PTN, jest spracą „prestizową”. Czy chce uposażenie oceniać odcinka miasta średnio-wiecznego, wprowadzenia pasa zieleni, który byłby nie tylko miłym dla oka, ale zapewne mieszkańcom chłodną uypożyczyną w pobliżu domu, a dziećmi miejsce do zabawy, jest spracą „prestizową”? Czy odcinki fundamentów dawnych murów, które uczyłoby w pasie zieleni zrypał dawnego miasta, jest czymś niezwykłym? Jest to zabieg konserwatorski, przeprowadzony w setkach miast europejskich (może autorowi nie znanych), spotykający się wszędzie z pozytywną oceną nawet ludzi nastawionych negatywnie do spraw ochrony i konserwacji zabytków. Rzeczywiście, prace prowadzone przy odcinku muru przy ul. Walozej ciągły się dość długo (lecz nie cztery lata jak pisze autor). Leżąc Kongo 25 ul. Walozej. Czy P. redaktor Kamiński Zabytków, które nie mogą

się podać wykonawstwa wobec namiaru zleceń, czy spółdzielnie budowlaną, której robotnicy pochodzą z wsi uciekają na Zimna i Kopania ziemniaki, czy też odcinek Młotników, którzy społecznie wszystkim organizują front robot?

Nie wiadomo również, gdzie autor zastępną informację, że „podobno wystąpił się też o urzędzenie w budynku dawnego kolegium pijarskiego kolegiata trzeciego (siedzi) w mieście muzeum...”. Przecież p. redaktor modlił się naszym działaczy kulturalnych! Jak dotąd i zapewnienie jeszcze długo, Radom ma jedno jedne Muzeum Regionalne, mieszczące się w ciążnych i nie dostarczających pomieszczeniach dawnego budynku kościoła św. Wacława na Starym Mieście na pomieszczenia magazynowe i pracownie działu archeologicznego, na „porządki bogatego dzieła wieloletniej pracy architektonicznej Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN i Miejskiego Muzeum, czego autor nie zauważył. Natomiast — jeśli szkoły mieszczące się w gmachu pijarskim otrzymały sobie budynki — zamierzone jest przeniesienie muzeum z ul. Nowożytnej do tego gmachu, lecz w dalszym ciągu będzie to jedynie muzeum radomskie! Surowość autora co do wykorzystania romaniki na „czwartą” ekspozycję muzealną są po prostu niemiernie.

„Wartki nurt tegiej popławy”, który tak zwrócił uwagę red. I. J. Kamińskiego, przysłał mi również spracę nowego budżetu w Radomiu, które jego zdaniem „dominuje przede wszystkim na krótkich miastach”. Czy Osiędla 13-lecia, jedno z najwyżej ocenianych w środowiskach architektonicznych w kraju, można nazwać „perfekcyjnym miastem”? Czy „smukłe wieżowce” wznieszone przy ul. Żeromskiego i w typych gmachach PMRN na miejscu rozbitych ruder — to też referuje! Trudno — nie każde miasto ma w centrum pięknie zabudowany plac przed Zamkiem, jak to widzimy w Lublinie!

Wreszcie autor, zestawiając liczbę „ponad 40 tys. osób” zatrudnionych w przemyśle radomskim z cotygodniowymi aparatami, zauważył jedynie „zmniejszenie aparatu do widzenia kratoasta” i „krasno-wyświetlone obrazy ruszet i świętych pańskich”. Nie zauważył jednak dobrej zorganizowanych stoisk spożywczych, które są istotnym uzupełnieniem detailnego handlu miejskiego w zaprzytomności ludności dużego miastu. Co do ciekawości — to ma je i Warszawa, ujął jedynie w Lublinie instytucja ta jest nieznaną!

Miejmy jednak nadzieję, że p. redaktor I. J. Kamiński nie ograniczy się do jednego wyczynu sportowego i poturzy „słalom”, trafiając następnym razem do szatających bramek.

Wojciech Kalinowski

P. docent wykazuje — że strawstwie jego słowa — pewną ignorancję w sprawach warsztatu dziennikarskiego oraz

skłonność zarzucania przestępstw nie popełnionych. Aby nie być pośmiewnym!

1. Nie byłem w Radomiu zimą, lecz w listopadzie; siewu nie widziałem!

2. Studiowanie rubryki kryminalnej w miejscowej prasie jest uzasadnione faktem przedowania Radomia w skali wojewódzkiej pod względem przestępczości, a wskazać przestępczości w Kielcecznie wyraźnie przekracza średnią krajową. Rozwinięta kultura jest, jak to ogólnie wiadomo, skutecznym narzędziem likwidowania ujemnych zjawisk z marginesu społecznego.

3. Napisałem „na okazjach tablicach, rozzianych w granicach starego miastu”, a nie „Starego Miastu”. Drobną uwagę na moim tekście — zmiana małych liter na duże — uprawdopodobnił zarzut, p. docenta, lecz jak takie chwytły nazwał?

4. Określenie „najbziższe miasto w Polsce” dotyczy Radomia przedwojennego, co niedwuznacznie mój tekst głosi, lecz p. docent i tu „ustawił” mnie w najwygodniejszej dla siebie pozycji.

5. Na tablicę przy ul. Walozej rzuciłem okiem i nawet jej treść przepisałem. A że „czekam na opinie wojewódzkiego konserwatora zabytków”, to wynika z przekonania, że kulturalne i zajęcie spory wokół konserwacji zabytków murów dojrzały — moim zdaniem — do publicznego rozwinięcia, co powinien zainicjować właśnie wojewódzki przedstawiciel władzy konserwatorskiej.

6. Z tymi „trzema kurtykami murów obronnych” kłopot miał najczystszy, albowiem „żałosna ignorancja” — jeśli takowa brzydka rzecz w ogóle to zaistniała, a raczej nie mnie firmować wana, ale... No właśnie, to nieszczęśliwe ale... Mówiąc krótko: w listopadzie ub. r. Radomskie Towarzystwo Naukowe nadało na moje nazwisko program i rozwinęte tezy referatów (p. docent także figuruje wśród autorów) sympozjum naukowego pt. „Problemy konserwatorskie miast kaziemierzowskich”. W tymże materiale doc. dr Andrzej Gruszczycki pisze (pod nagłówkiem „Wyniki badań kaziemierzowskich murów obronnych w Radomiu...”) co następuje: „Odkryto Bramę Krakowską z późniejszym przedbraniem, tezy i kurtyny murów obronnych” (podkr. moje). Pozostaje tylko do rozstrzygnięcia, kto się mylił: autor cytatu, czy p. doc. Kalinowski, Dziennikarz, który zaufał słowom autorytetu naukowego, prowadzącego badania i prace konserwatorskie przy ul. Walozej, jest tu niewinny jak dziecko. A swoja droga ciekawo mnie, czy są tam kurtyny, czy nie.

7. Przeciwnikiem ochrony i konserwacji zabytków — co imputuje mi p. docent — nie jestem, czego dowodem artykuły w „Kamieniu”, w których widać, że uważam przecie, że w tym działaniu, jak w każdym, powinna obowiązywać hierarchia potrzeb i ważności. Z tego też względu pozwoliłem sobie na cien sceptycyzmu w stosunku do „sprawy murów”, na nie więcej, niż

żadne jednoznaczne i kategoryczne stwierdzenie negatywne.

8. Muzeum jest jedno, to prawda, ale obiekty dwa; nieporozumienie polega na przejęciu. Załóżmy jednak wypada, że sami bezpośrednio zainteresowani nie chcieli wyjaśnić tej sprawy.

9. „Wartki nurt tegiej popławy” — p. docent nie kwestionuje jego istnienia — powinien zainicjować (jakie tych wszystkich, którzy uważają się za rzeczniczkę kultury).

10. „Wielkie targi” radomskie; wyjaśnijmy urzędnie, że zauważając je, czego trudno uniknąć, nie miałem zamiaru zdeprecjonować miastu — w jaki to sposób? — lecz chciałem przybliżyć czytelnikowi jego specyfikę, ciekawą krytykę dużego miastu w malomiaszczykowskim i rozległym pejzażu społecznym.

Na koniec o tendencyjności reportażu. Ten gatunek dziennikarski ma swoje prawa, podobnie, jak swoimi prawami kieruje się np. nauka o architekturze. Reporter szuka spraw i nasyka się na sprawy. Ich znajomość pozwala mu na wyrobienie sobie opinii o przedmiocie swoich zainteresowań, która steruje późniejszą pracą pisarską; odpowiednim rozłożeniem akcentów, doбором i selekcją przykładów, zbliżeniem reporterstwa, aluzji i kształtem krytyki dużego miastu w malomiaszczykowskim i rozległym pejzażu społecznym.

Ja nawet nie mam żalu do mego polemisty za słowa ostre i naganne, albowiem rozumie, że styl dyskusji naukowych wiecże czasami odbiega od banalnych norm, przeżytych przez tuzinkową społeczność, i trudno się wyciszyć jego tonacji przy byle okazji. Rozumiejąc też, że emocjonalne zwiazki z Radomiem sterują uwagę p. docenta tylko na rzeczy piękne. Niemniej sołeczam powiorna lekturę mego artykułu, a szczególnie akapi, zaczynający się od składowania „Wzajemnie przeciwnie, że w tym działaniu, jak w każdym, powinna obowiązywać hierarchia potrzeb i ważności. Z tego też względu pozwoliłem sobie na cien sceptycyzmu w stosunku do „sprawy murów”, na nie więcej, niż

Ireneusz J. Kamiński

Przed 30 laty

Krzysztof Anorzej Joworski

PO ostatecznym zagarnięciu Czechosłowacji (utworzenie Protektoratu Czech i Moraw i pseudoniepoddległej Słowacji) oraz Kłajpedy, przyszła wreszcie kolej na Polskę. Nawet lawirujący dotychczas minister Beck, który starał się nie narażać Niemcom, zmuszony rozwojem wypadków i postawą narodu, wygłosił stosunkowo dość stanowcze jak na niego przemówienie w Sejmie, reagując na wypowiedzenie przez Hitlera polsko-niemieckiego paktu o nieagresji. Jakież można było przystać na wcielenie Gdańska do Rzeszy i przeprowadzenie eksterytorialnej linii komunikacyjnej do Prus Wschodnich przez Pomorze. Padło wtedy mocne zdanie: „my w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę” i usłyszeliśmy słowa o honorze.

Już teraz trudno było się ludzi, jak w okresie Monachium, że burzę da się zszęgnąć, ale co będzie?

„Kamena” w n-rze marcowym, a więc jeszcze przed moją Hitlera w Reichstagu, zamiast not zamieściła wypowiedzi różnych pism (od lewicy przez centrum po prawicę) w sprawie niebezpieczeństwa grożącego nam ze strony Niemiec. A w głosach tych nie było defetyzmu — „Sygnały” twierdziły: „Powtórzmy Grunwald”. „Tygodnik Ilustrowany”: „Polska wojny nie chce, ale jej się też nie obawia”, a „Prosto z mostu”: „Wielkanoc 1939 r. w zastraszonej Europie — nas zastanie spokojnych. I gotowych. Na wszystko”. Zdawało nam się, że w sloganie „Silni, zwarci, gotowi” jest jakiejś pokrzywe.

Mimo groźby wiszącej nad Polską życie moje toczyło się zwykłym trybem: szkoła, „Kamena”, układałem i realizowałem plany.

Tak więc w czerwcu zorganizowałem wycieczkę Liceum Pedagogicznego w Tatrach. Przedtem zwiedziliśmy Kraków i Wieliczkę. Jak i przed dziesięć laty — podzieliłymi z kolegami nasze funkcje opiekuńcze: on zajął się stroną praktyczną wycieczki (sprawy finansowe, bilety, prowiant), ja objąłem przewodnictwo w górach. Trasa oprócz klasycznych dróg (przez Krzyżne do Morskiego Oka; Kościeliska — Iwaniacka Przełęcz — Chochołowska) obejmowała również część Tatr przyłączonych niedawno do Polski, a więc zamierzaliśmy doliną Białej Wody i Świstową dotrzeć nad Zmarzły Staw, a stamtąd wzdłuż nowej granicy ze Słowacją wejść od Polskiego Grzeblenia na Małą Wysoką. Chciałem chłopcom pokazać piękny widok z tego szczytu, na którym sam zresztą nie byłem, a więc upiec na jednym ogniu dwie pieczenie.

W Świstowej rozciągali się jeszcze duże połacie śniegu, co ogromnie cieszyło uczniów — obrzucali się śnieżkami w czerwcu! Niestety, nie dotarliśmy nawet do Zmarzłego Stawu, bo gęsta mgła spowila góry. Nie było sensu iść dalej przy Małej Wysokiej, z której w takich warunkach nie byłoby żadnego widoku. Wróciliśmy więc na Polanę do Doliny Białej Wody i zatrzymaliśmy się na krótki biwak, aby coś przekąsać. I oto nastąpiło spotkanie, które urzeczywistniło urąganie gór przypominało, w jakich okolicznościach odbywa się nasza wycieczka. Trzech młodych mężczyzn szybko schodzili od Świstowej Doliny, którą opuściliśmy przed kwadrans, kierując się w naszą stronę. Zatrzymali się pytając, czy są już w Polsce i kąd mają iść do Zakopanego. Uciekli z „niepoddległej” Słowacji przed prześladowaniami faszystowskich rządów ks. Tisy. Twierdzili, że kraj ich jest całkowicie opanowany przez hitlerowców i posłuszny im gwardii Hlinki, że szaleje tam terror i że podobno w Polsce tworzy się legion czechosłowacki (nie słyszeliśmy o tym), do którego chcieliby się zaciągnąć. Wskazaliśmy im drogę do Łysej Polany; czym prędzej nas pożegnali.

Zmrozili nam radość obcowania z naturą, umilkły żarty i śmiechy, przypomnieli się powaga sytuacji.

A potem ukazał się ostatni przedwojenny numer górski „Kamena” i nadeszły ostatnie tatrzańskie wakacje przed wybuchem wojny. Dość lekkomyślnie rozdzielił się z żoną i Markiem: oni pojechali do Muszyny, a ja do „Swobody” Jaszczu. Dziwny stan przeżywałem wtedy: czulem, że wojna wybuchnie i jednocześnie pocieszałem się, że może nie zaraz, a byłaby nawet chwila, kiedy twierdziłem, że Hitler tylko bluffuje.

Wakacje 1939 roku. Było to pożegnanie gór na sześć krwawych koszmarnych lat, pożegnanie wysokogórskich w sensie tatarniczym wycieczek, które już się nigdy nie miały powtórzyć, choć po wojnie wielokrotnie jeszcze w Tatrach wracałem. Na pożegnanie obdarzyły nas fenomenalną pogodą, jedną przerażającą burzą na stokach Jagnięcego i kilkoma pięknymi wycieczkami. Z ostatniej wracaliśmy na trzy dni przed wybuchem wojny. A jednak w Chełmie stawiłem się pierwszy. Żona z Markiem przyjechała dopiero nazajutrz. Co ciekawsz, że Wojniłowa, gdzie zatrzymaliśmy się oboje po pobycie w Muszynie, wysłał do mnie kartkę pisaną 29 sierpnia (!), w której małe zapowiadał: „Jeszcze Lwów i Czech! Czech! Chełm i zobaczenie się z Tobą”, a żona dopisała: „Maruś zobaczy Raclawice, Plac Wystawy — ja załatwię sprawunki”. I ani słowa o nastrojach wojennych. Co za beztrocka! Kartka ta nadeszła w drugim dniu wojny.

1 września odbywał się uzupełniający egzamin piśmienny do Liceum Pedagogicznego. Dyrektor Franciszek Wojnar, ostatni z moich zwierzchników, z którym najdłużej pracowałem, bo jeszcze i pięć lat po wojnie, i z którym żyłem się najbardziej, szepnął mi do ucha, aby uczniowie nie słyszeli: — Już się zaczęło. — Wysoko nad miastem unosiły się samoloty. Niemieckie — robili zdjęcia.

Nie pamiętam, tego samego dnia czy nazajutrz wpadł do mnie mój kolega gimnazjalny — Samuel Guterman. W dzień ciśnie, jak już wspominałem w poprzedniej książce, żyliśmy ze sobą dość blisko, mieszkaliśmy w jednej kamienicy, toteż często do mnie przychodził — rozmawialiśmy wtedy po rosyjsku, bo polskiego nie znał. Później już, po uzyskaniu przez Polskę niepodległości, odwiedził mnie parę razy. Studiował we Francji bodaj, że ekonomię; już wtedy oczywiście porozumiewaliśmy się po polsku. Teraz zjawiał się u mnie w mundurze porucznika. Trudno mi było w tym oficerze poznać małego Szmulka, z którym jako pierwszoklasista bawiliśmy się w tropienie zbrodniarzy, obaj bowiem wtedy pożyczaliśmy sobie nawzajem popularne zeszyty z przygodami Nata Pinkertona czy Sherlocka Holmesa delectując się tą bulwarową „literaturą”. Guterman był rozgorączczony, przejęty wojną, patrzył pesymistycznie w przyszłość, miał nazajutrz jechać do swojej jednostki wojskowej. Czy do niej dotarł, nie wiem, jak i nie mi nie wiadomo o dalszych jego losach.

Od początku wojny obowiązywało zaciemnienie. Wieczorem z Zenkiem albo z Wacławem Berezeczkim chodziliśmy w stro-

nę torów kolejowych — a nuż przyłapiemy jakiegoś dywersanta. Miałem w kieszeni rewolwer, nabyty legalnie za pozwoleniem na broń, w który zoapatrzyłem się przed paru laty, a którego raz tylko użyłem zastrzelwszy męczącą się, zdychającą kawkę. Teraz może się przyda...

3 września — uczucie pewnej ulgi. Wiadomości przez radio: Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę.

8 września — naloł na Chełm. Bomby rzucono na stację i dyrekcję kolejową. Dworzec częściowo zburzony. Uległy zniszczeniu magazyny i baraki. Trafiono i w gmach Gimnazjum Czarnieckiego. Ofiary w ludziach — ponad sto osób zabitych, wielu rannych. Pierwsza danina krwi i życia w naszym mieście. I jakżeż obfita.

W parę dni później nierozważne stłoczenie się artylerii na naszej ulicy. Całe szczęście, że zator nie trwał długo, bo gdyby niemieccy lotnicy zwrężyli to skupisko, dopiero by sobie poużywali... Wśród żołnierzy owdowiał major, mąż zmarłej niedawno siostry ciociecznej — Stefy, z którym zdążyliśmy wymienić kilka słów. Przygnębiony opowiadał, że odwiózł córeczkę do dziadków w Sawinie, sam nie wie, dokąd 2 PAC skierują. Wtedy widzieliśmy się po raz ostatni. Znalazł się później w obozie, skąd nawet wysłał kartkę do wujostwa i Alinki. Już stamtąd nie wrócił.

Czy tego samego dnia, czy też później wypadło nam skorzystać ze schronu wykopanego w ogrodzie. Był płytki, a jednak się przydał. W samo południe w czasie nalołu w odległości jakichś 80 kroków od naszego rowu eksplodowała bomba — z tych najmniejszych, na szczęście nie wyrządzając nikomu krzywdy. Zburzyła tylko szopę u sąsiadów.

A ten samolot niemiecki strącony nad Chełmem! Widziałem, jak płonący spadał na ziemię. Ileż wtedy było radości, ile triumfu! Jak to nas na chwilę podniosło na duchu. Z ust do ust podawano sobie niedorzeczne, gdzieś podobno przez radio słyszone wieści, że wojsko polskie wkroczyło do Prus Wschodnich, że któryś z asów naszego lotnictwa (czy nie Bajan?) z niesłychaną brawurą pikował na różne obiekty wojskowe w Berlinie siejąc spustoszenie. Dawało się wiarę takim bajeczkom, które też podnosiły na duchu.

Wrażenia z pierwszych tygodni wojny opisałem już dość szczegółowo gdzie indziej („W kręgu Kamieny” rozdz. XXIII). Wspominałem tam o naszej kilkudniowej wyprawie wołyńskiej związanej z nadaniem przez radio rozporządzeniem, aby urzędnicy państwowi opuszczali zagrożone miasta i kierowali się do województw wschodnich, i naszym pośpiesznym powrocie, kiedy 17 września na te tereny wkroczyła wojska radzieckie. Pisałem również o licznych spotkaniach z literatami, którzy zatrzymali się w naszym mieście czekając na dalszy rozwój wypadków, o wejściu Armii Czerwonej i krótkim jej pobycie w Chełmie, gdyż po zmianie linii demarkacyjnej między wojskami niemieckimi a radzieckimi Chełmszczyznę zajęli Niemcy. Literaci wycofali się za Bug z zamiarem przedostania się do Lwowa, myśmy z Zenkiem zostali na miejscu.

Niemcy w Chełmie. Zmotoryzowane kolumny karnie posuwają się główną ulicą. Twarze żołnierzy — maski bez wyrazu. Nie ludzie, ale roboty śmierci.

Drakońskie prawa wojny w okupowanym mieście. Tym bezwzględniejsze i sroższe, że teutońskie.

Jest już i gestapo. Jest i „polska” gazetka pisana w okropnym języku. Wciąż rozlepią się nowe Bekanntmachung. W sprawie broni. W sprawie radia. W sprawie gwiazd syjońskich dla Żydów. A w tych ogłoszeniach hojnie szafuje się groźbą kary śmierci. Przelotne rozporządzenia dotyczące składania ukłonu oficerom. Z tego powodu rzadko wychodzę do miasta. Zakładnicy — kilkanaście znanych osób: lekarze, księża, urzędnicy, kierownicy szkół (wśród nich i dyr. Wojnar). Zwolniono ich jednak po kilku tygodniach.

Szokujący mnie widok Żydów z gwiazdami syjońskimi, odmiatających śnieg na trotuarach. Wśród nich znajome twarze. Staram się ich nie widzieć. Wstyd mi, że przechodzę obok korzystając z oczyszczonego przez nich chodnika. Przez chwilę stłumiona w porę niedorzeczna chęć chwyceń do ręki miotły i przyłączenia się do nich przez solidarność. Jakże naiwne było wtedy moje oburzenie, ale czyż mogłem przez chwilę przypuszczać, że zamiatanie ulicy było nieszkodliwym drobiazgiem w porównaniu z tym, co ich czekało w przyszłości!

Życie obwarowane różnymi zakazami toczy się dalej. Sklepy otwarte, ale niewiele w nich można dostać. Wprowadza się kartki na niektóre produkty. Jeszcze mamy trochę pieńędzy, bo władze polskie zdążyły nam wypłacić trzy miesięczne pobory. Są i pewne zapasy żywności dzięki staraniom żony. Ale co będzie dalej?

Odrywamy się od ponurej rzeczywistości. Gram z Marusem w karty i warcaby, czytamy książki. Czasem odwiedzają nas znajomi, ale rzadko, każdy woli zaszyć się w domu. Zdzich Popowski daje mi przepis na domową fabrykację mydła — może się przyda, bo brak już tego towaru.

I oto gdzieś chyba w styczniu — potężne uderzenie obuchem w głowę. Niemcy otoczyli szpital dla umysłowo chorych (kto? Wehrmacht czy oddziały SS?) i wystrzelano obłąkanych wraz z personelem lekarskim. Uciekających ścigano. Nikt nie został przy życiu. Strach ogarnął nas wszystkich. Więc do tego są zdolni hitlerowcy?! Toż to bestie wyczone ze wszelkich uczuć ludzkich. Co nas od nich czeka?

I w parę miesięcy później rozszalał się terror. Godzono teraz w inteligencję, bo w niej upatrywano potencjalnego przeciwnika mogącego pokierować ruchem oporu. W początkach czerwca aresztowano w Chełmie i w powiecie, nie tylko zresztą chełmskim, bo również we włodawskim i krasnostawskim, osiemdziesiąt kilka osób, które później rozstrzelano w naszym podmiejskim lesie — Kumowej Dolinie. To było coś przerażającego. Wśród ofiar znajdowali się znani nam ludzie. A to, że zginęła tam także żona mojego kolegi Bolesława Wirskiego, nie mieściło nam się po prostu w głowie. Jeszcze w czasie ubiegłego lata żona i Marek spędzili z nią i jej córeczką część wakacji w Muszynie. Dlaczego właśnie ją, skromną, cichą nauczycielkę szkoły podstawowej, Niemcy uważali za niebezpieczną dla siebie?

Później w różnych odstępach czasu dalsze ofiary. W Lublinie rozstrzelano zastępcę naszego starosty — Illukiewicza (jego podpis widnieje na zezwoleniu Starostwa na wydawanie „Kamieny”) i dziekana ks. Kosióra. A potem zginęli do brzo mi znani nauczyciele — Głowacki i Szybowski i kame-

nowy „przeciwnik” Czerniecki z synami. I żona aptekarza p. Dziemska z córką. I wielu innych.

Wywołano też do obozów, np. nauczycielki — Cichońską, Leśkiewiczową i in.

Ale o tym dowiedziałem się dopiero po powrocie z Sachsenhausen.

Aresztowano mnie 20 marca w związku z dalszą akcją skierowaną przeciwko inteligencji. Gdy przechodziłem ulicą Lubelską, zauważyłem na jej rogu przy ul. Dreszera, w której właśnie skręcałem, stolik; siedzieli przy nim paru Niemców w mundurach i jakiś młodzieniec w cywilnym ubraniu. Za późno było się cofać, bo ten młodzieniec wskazał na mnie mundurowym, którzy słowami „Kommen Sie, aber gleich!” — weszli do siebie. Ten cywil, jak się później dowiedziałem, był to wychowanek gimnazjum — Lindner, którego nawet nigdy nie uczyłem, ale który oczywiście znał mnie dobrze. Nie było rady, musiałem podejść do stołu i zaraz uzbrojony Niemiec zprowadził mnie do pobliskiej kamienicy przy ul. Dreszera, gdzie się przed wojną mieściła nasza komenda policji. Otworzył drzwi jakiejś sali, w której już było paru miejscowych nauczycieli, wpuścił mnie do środka i zamknął nas na klucz.

— A to i kolega wpadł! — zawołał jeden z nich, witając się ze mną. Mieli niewesołe miny, ich tak samo aresztowano na ulicy. Po pewnej chwili znów wprowadzono jednego czy dwóch schwytych. Wejście koleżków Krasiańskiego i Sardinowskiego z Gimnazjum powitałem — nie wiem czemu — śmiechem. I nie był to śmiech histeryczny, tylko po prostu przejaw jakiegoś wściekłego humoru. Zebraliśmy się już w pulapce około dziesięciu, w tym oprócz wymienionych kolegów ze szkół podstawowych: Kopyś, Onderko, Skrobotowicz, Zygmunt i inni. Nie pamiętam, czy znajdował się wśród nich kol. Pyzik i Piotr Grochmalicki, z którym później zaprzyjaźniłem się w obozie.

I oto z groźną miną wszedł do sali jakiś gestapowiec z erkaemem i wrzasnął coś gardliwym głosem. Towarzyszył mu drugi, który powtórzył po polsku: „Stanać twarzą do ściany”. A ten uzbrojony zarepetował broń. Do dziś nie wiem, skąd miałem absolutną pewność, że w tej chwili śmierć nam nie grozi — choć niektórzy koleżdy struchleli, przekonani, że zaraz zaczną do nas strzelać.

Szepaliśmy: — Nie bójcie się, nic nie będzie, on nas chce tylko nastraszyć.

I rzeczywiście, po upływie ciągnącej się w nieskończoność minuty, gestapowiec roześmiał się rechotliwie i zadowolony ze swego wspaniałego żartu wyszedł z sali, a drugi rzekł z uśmiechem: „Można się odwrócić!”

A później pod eskortą wieziono nas ciężarówką do Seminarium Żeńskiego. W drodze zdolałem wyrzucić na ulicę kartkę z kilkoma słowami do matki, żony i Marusia. Przeżalenie ogarniało mnie na myśl, jak muszą się o mnie niepokoić, zwłaszcza chora na serce mama. Kartkę doręczono pod wskazanym adresem. W szkole umieszczono nas w jednej z klas, ogółem w liczbie jakichś trzydziestu osób. Wszyscy pragnęliśmy wiedzieć, co nas czeka — wieźlenie czy też wywozów nas do Niemiec na roboty. A może coś gorszego, jak tych w Kumowej Dolinie? Ale przystojny gestapowiec, który przechadzał się po klasie i od czasu do czasu zagadywał do nas po niemiecku, nie chciał powiedzieć. Początkowo któregoś z pałacy papierosem i zapytał, kto z nas pali. Kilku się odezwało. „No to będzie wam ciężko” — powiedział, z czego wywnioskowaliśmy, że chyba jednak nie mają zamiaru nas rozwalić.

Po bezsennej nocy w szkole — niejeden myślał o ucieczce, ale pilnowano nas dobrze — nazajutrz po południu przewieziono nas do gestapo, aby spisować personalia aresztowanych. Nie zapomnę tego wstrząsającego wrażenia, jakiego doznałem patrząc na zgromadzonych przed głoślikiem



Tak było codziennie...

Fot. z albumu „Der zweite Weltkrieg”

na ulicy młodych Niemców, którzy chłonęli pełne pychy słowa spikera ilustrującego przebieg uroczystości w lasu Compiègne pod Paryżem — finał kampanii na Zachodzie. Jakież entuzjazm ich ogarniał, jak zanosili się śmiechem, kiedy im opowiadano o wprowadzeniu delegacji francuskiej do historycznego wagonu, w którym w 1918 roku Niemcy podpisali akt kapitulacji, jak oklaskiwali te wiadomości, jak ryczeli z ucieszy!

A w gestapo Niemiec spisujący personalia, obok którego zasiadaliśmy przy stole, aby stwierdzić podpisem ich wiarygodność, gdy przyszła kolej na mnie, z jakimś figlarnym uśmiechem przytknął mi do nosa czerwony skrawek papieru. Trochę mnie to zanępkowało; czy aby ten kolor nie ma symbolizować moich lewicowych poglądów, o których wreszcie wiedząca tajna policja hitlerowska mogła już być poinformowana? Przecież w „Kamieniu”, zwłaszcza w jej notach, sporo było zjadliwych i pełnych oburzenia wypadów przeciwko niemieckiemu faszyzmowi.

Po szczęśliwym powrocie z obozu naprawdę błogosławiłem małą pocytność naszego pisma w Chełmie, na którą tyle razy narzekałem. To dzięki niej i ten smarkacz Lindner wskazał na mnie jedynie, jako na nauczyciela, a nie redaktora antyfaszystowskiego miesięcznika. A przecież wysyłając mnie do obozu, gestapo z łatwością mogło w moich papierach dać odpowiednią adnotację dla Politische Abteilung, aby mnie tam zlikwidowano...

Wreszcie podróż w zamkniętym bydłym wagonie do więzienia na Zamku w Lublinie. Był upał straszliwy, piść się nam chciało, pociliśmy się stojąc stłoczeni i patrząc przez szpary na uciekające lasy i pola, których większość z nas już nie miała nigdy oglądać.

Tu wypadnie mi przerwać suncie wspomnień na 19 i pół miesięcy. Co się działo potem, jaki przebieg miał mój pobyt w Sachsenhausen, opisałem już w książce „Serca za drutem”. Do tych spraw nie będę więc wracał.

(Rozdział książki „Koniec sensu”, która w najbliższym czasie ukaze się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego).

Zielony i czarny świat

JAN Bolesław Ożóg należy do poetów umiających występować w roli interpretatora własnej poezji. Autor „Ziemi Wielkanocnej” próbuje tej roli z powodzeniem, potrafi precyzyjnie wypowiedzieć zamiary, według których rozwija swoje dzieło. Oczywiście nie ze wszystkimi wypowiedziami można się zgodzić. Ale właśnie sam poeta trafnie wskazał na dramatyczną podstawę swej liryki, oparcie jej na przeciwieństwach: „Gdy występuje u mnie na przykład biel, to i czern, gdy dzień, to i noc, gdy pierwiastek męski, to i żeński, gdy radość, to i smutek, gdy niewinność, to i zbrodnia, gdy życie, to i śmierć, gdy ziemia, to i niebo”. Autor tych słów wskazał na biograficzne uwarunkowanie takiego odczuwania świata, choć nie tylko biografia ma tu coś do powiedzenia.

Oparcie liryki na interpretacji własnych przeżyć pozostało u Ożoga dziełem autentycznym. Drzewo jego liryki ma swoje korzenie w programie, który w „Okolicy Poetów” kształtował Stanisław Czernik. Redaktor pisma, teoretyk i poeta w jednej osobie, próbował opatrzyć swym stemplem różne indywidualności twórcze. Można jednak wykażać, że wspomniany program obraz stanowił podstawę większości wierszy autentyzmu. Po wojnie właśnie Ożóg był bodaj bardziej autentyczny od samego Czernika. Kto wie zresztą, czy nie Ożóg najpełniej rozwiniął możliwości zawarte w autentyzmie, nie skontaktował go z pewnymi bardzo nowoczesnymi orientacjami myślowymi.

Po „Murach” — „Ziemia Wielkanocna” stanowi pewne zaskoczenie. Okazuje się, że ich autor nie mieści się w jakiejś jednej formule, że ciągle poszukuje i rozwija się. Toteż poezje Ożoga trzeba zawsze widzieć w jej całości, narastaniu, w przybywaniu nowych jakości. Wówczas łatwo się przekonać, że Ożóg należy do bardzo ciekawych współczesnych poetów, na pewno jeszcze niedocenionych. Ostatnie objawy wskazują jednak, iż sytuacja się zmienia, krytycy ją zauważyli, a i sama twórczość Ożoga domaga się należnego jej miejsca.

Ostatnie omówienia krytyczne wskazywały zwłaszcza na mitologiczną strukturę świata poetyckiego Ożoga, czytano jego lirykę poprzez Freuda, Junga i Eliadę, pisano o archetypach. Było to po myśli poety, który w swych komentarzach tak właśnie klucz podsuwał. Tu jedna wątpliwość: czy nie jest to mitologia nadto programowa, „robiona”, a nie immanentnie zawarta w utworze? Bodaj Jung napisał, że powieść pisana jako „powieść psychoanalityczna” jest dla psychoanalizy bezwartościowa, ponieważ fałszuje materiał, podporządkowując go gotowemu schematom. Najprawdopodobniej wcielaniem mitu czy archetypu byłby tekst napisany przez człowieka, który o lech teorii nie ma żadnego pojęcia. Dostrzeże je dopiero wnikliwy czytelnik czy interpretator.

Zostawmy więc mitologię Ożoga na uboczu, choć całkowicie odsunąć się od niej nie da. Kluczowym wierszem „Ziemi Wielkanocnej” jest ten bez tytułu, zaczynający się od słów:

To nie ja idę, nie ja wolam,
to ziemia wola tak z całego gardła.
To nie ja to barze z kufem w noc
za stołem,
to bosa ziemia się jak krowa mi rozparła.

Pozornie mamy tu zaprzeczenie i opozycję: ja — ziemia. W rzeczywistości dokonuje się tu całkowita identyfikacja, z prawem wymienności i substytucji. O przykłady nietrudno:

Ta ziemia wszystko nad łkami
chyba kobietą jest ta ziemia
(Z Suplikacji)
Przebragający matką — wodę
(z wody)
Tam babcia moja starowina —
wychudła topola
(Z balkonu)

Utożsamienie człowieka z przyrodą służy oczywiście podkreśleniu jedności świata, człowiek jest po prostu fragmentem natury, równocześnie jednak zjawiska przyrody podlegają uczłowiczeniu, a przynajmniej animacji. Zyskuje na tym dramatyczność widzenia, tak istotna dla tej poezji.

Na dramacie rozgrywającym się w niej składa się przede wszystkim opozycja życia i śmierci. Nieokreślony witalizm, o cechach wyjątkowej pierwotności, zderza się ze strefą śmiertelną. „Martwość” — ten wiersz wskazuje na ów problem programowo; ale jeszcze więcej pokazuje przesłanie występowania u Ożoga dwu kolorów: zieleni i czerni. Zielen — związana z życiem, czern — wiadomo jakich światów dotyczy. I czerni właśnie jest obecna niemal w każdym wierszu tomu. Węć jest „czarna woda” i to wiele razy, „dłoń czarna”, „czarna krew”, „czarna gałąź”, „niezłota czarna”. Opozycja martwoty, śmierci i życia jest tu intensywna niemal jak w dramatach Wyspiańskiego.

Uznanie człowieka za fragment świata nie wyczerpuje sprawy. W tej jedności tkwi wewnętrzne przeciwieństwo, równie dramatyczne jak poprzednie. Wspólnota w płaszczyźnie biologicznej, ale różnica w działalności praktycznej człowieka, gdzie istnieje stały konflikt natury i cywilizacji. W poprzednim zbiorze Ożoga, w „Murach”, odbywało się to na planie konfliktu bytowania wsi i miasta, podnoszonego często do wymiarów mitycznych. Tutaj atak poety na wynik działalności cywilizacyjnej człowieka odznacza się niezwykłą gwałtownością:

Wyblidnie więc tury i stowańskich bogów,
i brakto i lisów na futra dla kobiet,
i awansują — z braku mięsa —
na stoły wasze i dżdżownice zasmażane.

Jesteśmy tu w pobliżu bardzo istotnej okolicy poezji współczesnej. O co chodzi, pokazuje wiersz „Gwoździe”, najlepszy w tomie, znakomity. Ma coś z najpiękniejszych wierszy Stanisława Grochowiaka. Chodzi o połączenie wrażliwości z odwagą, liryzmu z brutalnością, gdzie słowa są ostre aż do bólu. Piękno przestaje być wtedy sielanką, obejmuje całość ludzkiego doświadczenia. Jan Bolesław Ożóg jest zaś poetą nie tylko autentycznym, ale poetą prawdziwym.

Tadeusz Klak

Jan Bolesław Ożóg: Ziemia Wielkanocna, Warszawa 1969, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

Różewicz dowodem

Biadolenia na brak zainteresowania poezją współczesną, która słyszymy ze strony samych poetów, nauczycieli i wydawców, tracą realne podłoże. Douwodzi niech będzie lubelski wiersz pod tytułem Tadeusza Różewicza (18 grudnia br.), w którym poeta uczynił pominięcie miłośników poetyckiego słowa, a nastój panujący na sali nie miał nie wspólnego ze snobistycznym rendez-vous. Bo to było spotkanie z autentyczną twórczością, z poetą, a nie z kims uprawiającym wierszowanie. I tu jest klucz do sprawy rzekomego kryzysu zainteresowania współczesną poezją. Nie publikujemy tomików poetyckich — starych, nowych — tylko dla zaspokojenia amatorskich i regionalnych. Mniej publikacji, więcej wartościowych; one na pewno znajdą czytelnika. To wszystko, co miałem do powiedzenia — także poeta i do tego początkujący.

Andrzej Ciesielski
Lublin

mgr Jan Wiącek
Ełbląg

Od redakcji: Chcielibyśmy wierszy, że drugi już apel Czytelnika (jak i nasza publikacja pt. „W sprawie Walezyńskiego i innych”) zwróci uwagę Muzeum Lubelskiego, w którego posiadaniu znajduje się niemal cała spuścizna zapomnianego niestety malarza.

Listy do
KAMENY

Dostrojona liryka

ZYGMUNT Mikulski to postać znana w lubelskim środowisku kulturalnym, w pewnym sensie jego beniaminek. Redaktor „Kultury i Życia” (tu pozwolił wielu młodym stawić pierwsze kroki poetyckie), prezes Oddziału Związku Literatów Polskich, wielbiciel Galczyńskiego, dobry jego recytator itd. Pisze również wiersze. Ta ostatnia czynność stawiana jest w opinii na marginesie. Tymczasem z punktu bibliograficznego jest odwrotnie — to właśnie poeta, który ubocznie zajmuje się też różnymi innymi sprawami.

Autor tak określił siebie na skrzydełku swego ostatniego tomiku „Czerwiec przez kalke”: „Został mi w szafie garnitur sprzed II Wojny Awangardowej”. A więc tradycjonalista, poeta niemodny. Nie wdając się w rozwijanie i ocenę tej kwestii, chciałbym podkreślić w związku z tym co innego: dosyć rzadką odwagę wzruszenia i tkliwości, ważną jako dysonans wśród nowatorstwa, na które się liczy, że samo przez się stanowi patent na poezję.

Owa poetyka wzruszeń, połączona z żartem, który czasem w wierszach Mikulskiego się pojawia, przywołuje Galczyńskiego. Utaił się poglądy, zdaje się przez samego autora „Spotkań lubelskich” umacniany, że patronem jego poezji jest Galczyński. Powiedzmy od razu, że związek są pozorne. Z Galczyńskiego wywodzi się pewne frazy, motywy muzyczne, stwarzanie lirycznej sytuacji za pomocą ogranych rekwizytów, ale w istotnych cechach poetyki istnieją zasadnicze różnice, zwłaszcza w strukturze składniowej, w stosunku do rek-

wizytów i do banału. U Galczyńskiego mamy dynamikę, ścierania się różnych elementów, ambiwalencję, banal traktuje poeta jako banal z całą swobodą, bez zastrzeżenia się, przy tym burzy ten banal, nadając mu nowy sens, a z kolei znaczenia niebanalne — banalizuje. Mikulski zaś aktywizuje banal, zatrzymuje się nad nim i pokazuje, że chociaż to banal, to jednak ma urok:

Twoje oczy wleczę się w jałminie
(od poradę, że to tylko banal).
Węc nie będzie, węc nie nie
przemienie
i zostaniesz na zatusze kochana.

U Galczyńskiego dominuje zasada konfrontacji, u Mikulskiego relacji. Bardziej przypomina Tuwima czy Staffa, mimo że brak związków bezpośrednich.

W poezji Mikulskiego widoczna jest jakaś nieśmiałość, jakby lekka się wyjąć poza swój pewny, oswojony świat, a żartobliwy dystans to swoista kpina z urzeczenia lirycznym obrazem przy jednoczesnym akcentcie „sceptycyzmu”, świadomości, że cały ten liryzm to zabawa na niby. Widać tu zbyt trzymanie się tego, co nie pociąga za sobą ryzyka, co sprawdzone, a także niewiarę w możliwości słowa; poezje tej warunkuje zasada ograniczonej słowności:

Pytałem wórkę, której z noślem
znajomość jest od dawna bliska:
czy wszystka rzecz się zmienia
w stoletie
Nie rzekła nic. To znaczy wszystka.
(O sobie)

Równocześnie to poezja prymarnych uczuć, tego, co w każdym życiu ludzkim niezbędne. W tym kręgu wydziwiać obrazy, piętrzyć znaczenia znaczącyoby niszczyć czy zacierać ową prymarność. Mikulski

stara się o naturalność wypowiedzi, ale przy tym szlifuje wiersz, wyraźnie dba o kulturę słowa, o trafny, a zarazem dyskretny rym i metaforę.

Prymarnie uczucia czy sytuacje wymagają jednak partnerstwa (o kims, do kogoś, z kimś). Wbrew ogólnemu przekonaniu uczucia nie wiążą się tylko z pojęciem „ja”, nie są wyznacznikiem indywidualizmu poetyckiego (utożsamianiem z lirycznością). Są właściwością społeczną, to znaczy rozwijają się w kontaktach ludzkich. Nie muszą być wyłączone bodowia „ja” liryczne. Tego aspektu społecznego zdaje się brakować w liryce Mikulskiego. Poza proma wyjątkami to jak gdyby umebrowanie gustowne i pociągające — które czeka na zamieszkanie. To więcej poezja wolań, czekania na uczucia, niż obrazowy ich kształt. Stąd pewna statyczność lirycznej sytuacji i zaduma. Elementy żartu, dostrojone do sytuacji, są wybiegającą na przeciw radością, nadzieją, a równocześnie pokrywają żawód, są uśmiechem obawy i stwierdzeniem: jeśli nie chcecie, to nie bierzcie tego na serio, nic się przez to nie zmieni:

Jeszcze dostroję rym uparty
wiersza.
Swierszcz już zaczyna swe
muzykowanie.
Odejdę, Stanę i poproszę swierszcza.
Wtedy zostaniesz.

Mikulski, zdaje się, obchodzi swoje dwudziestopięcioletie w uprawianiu poezji. Nie napisał zbyt wiele, ale w drodze swej doszedł — w ramach swego świadomie zawęzonego świata — do pełnego dostrojenia liryki. Otwiera się więc nowy etap, zdaje się jednak, że autor pozostawia lirykę na uboczu swej twórczości. Siegnął przede wszystkim do prozy. Może w niej zdoła odważyć zrealizować liryczne doświadczenia. Należy mu tego życzyć.

Zdzisław Jastrzębski

Zygmunt Mikulski, Czerwiec przez kalke, Wyd. Lub., Lublin 1969.

Krzyżówka nr 4

POZIOMO: 1. jeden z wieszczów, 6. podgórskie miasto z zamkiem-muzeum, 9. drugi co do wysokości szczyt w Tatrach, 10. imię Kischa, 11. zasada prawna, 12. 1970, 11. powiat, okręg, 13. dzieli się na nie dramat, 17. strój ludowy, 20. molierowski „Świętoszek”, 22. wielki obraz, 24. roślina doniczkowa o polskiej nazwie „igława”, 26. miasto powiatowe w woj. lubelskim, 28. splot niebezpiecznych okoliczności, 31. przystań wodna, 33. firnament, 34. zespół ludzi mających wspólnego przodka, 35. rocznik, 37. dramat Zeromskiego, 38. napój poszukiwany przez alchemików, 39. wykaz błędów w książce, 40. nowina, informacja.

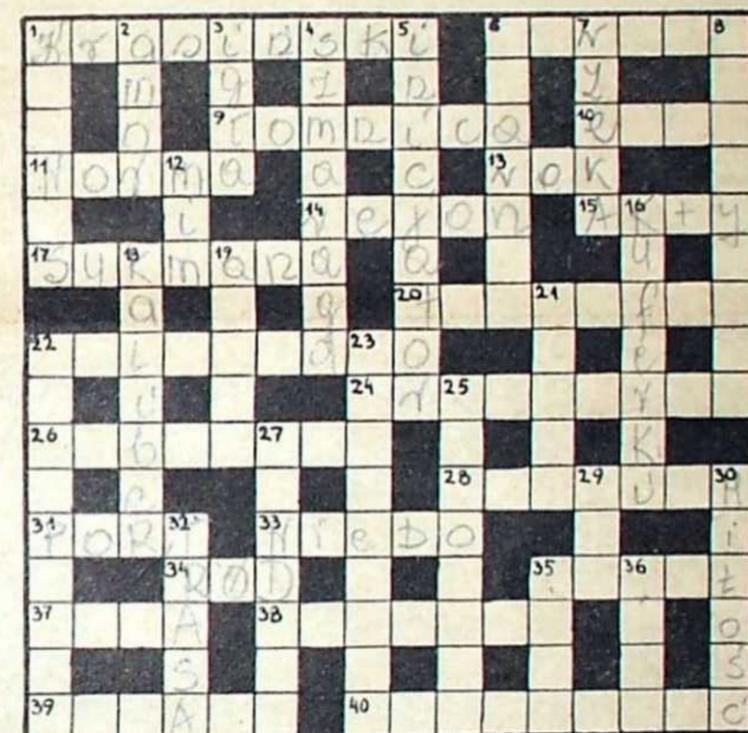
PIONOWO: 1. ojciec Zeusa, 2. rzymski Eros, 3. narzędzie krawca, 4. drogi kamień, 5. dający początek, 6. kilkakrotny minister skarbu w Polsce przedwzrostowej, 7. np. Bystrzyca, 8. śpiewna melodia w utworze, 12. aktor pantomimy, 16. drewniane walizki, 18. średnica polskiego, 19. nazwa gramatyki łacińskiej używanej w dawnej Polsce, 21. taryfa, 22. włoski dziennikarz i pisarz, autor książki „Kaputt”, 23. rosyjski pisarz, autor opowiadania „Czterdziesty pierwszy”, 25. naoczne sprawdzenie, 27. kierski towar, 29. podstawowa jednostka dziedziczności, 30. uczucie opisywane w powieściach, 32. przebyta droga, 35. przepływa przez Florencję, 36. kapitan Nautiusa.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 2

POZIOMO: Eluard, motek, Mackiewicz, Ural, eklektyzm, zakwas, Douai, Oran, Idy, Dafne, karta, ale, drab, Erazm, Asuncion, neologizm, stan, zwrotnicy, detka, alkowa, Szekierzy.

PIONOWO: Amas, Antarktyda, inkubator, zima, noc, epidemia, amidy, drzemanie, Aleko,



tron, Edgar, Adams, realizator, Indonezja, Fernando, Abel, teogonia, zamsz, nugaty, obrok, Tyne, cis.

Za rozwiązanie krzyżówki nr 2 nagrody wylosowali:

Wacław Mazurek, Oleśniki, p-ta Fajslawice pow. Krasnostaw, Janusz Kwieciń, Tarnów ul. Ułańska 19/11, Natalia i Julian Kania, Rzeszów, ul. Kniewskiego 6/2, Andrzej Belcarz, Michów k/Lubartowa.

Radziecki głos o Józefie Czechowiczu

DAREMNIE półtora roku temu przeglądałem polonica największej biblioteki moskiewskiej — Biblioteki im. Lenina, poszukując nazwiska Czechowicza. Można tam znaleźć wszystko, co z literatury polskiej ukazuje się w ZSRR, nie brak także utworów naszej literatury wydawanych w Polsce. Nie było tam jednakże w żadnym wydaniu wierszy Czechowicza, który jest postacią zupełnie nie znaną radzieckim czytelnikom. Nie zawiera też żadnej wzmianki o Czechowiczu wydana po wojnie okazała 50-tomowa Wielka Encyklopedia Radziecka.

Z tym większym zainteresowaniem otwiera się wydana ostatnio w Moskwie dwutomowa „Historia literatury polskiej”, w której poświęcono lubelskiemu poecie obszerną wzmiankę. Spośród polskich poetów okresu międzywojennego najbardziej znani w ZSRR są niewątpliwie Broniewski, Tuwim, Galiński, Staff, którym we wspomnianej pracy poświęcone zostały oddzielne rozdziały. Tak samo omówiono dorobek B. Leśmiana, poety związanego swoim pochodzeniem i długoletnim zamieszkaniem z Lubelszczyzną.

Obszerną wzmiankę o Czechowiczu w „Historii literatury polskiej” napisał W. A. Choriew. Znalazła się ona w rozdziale poświęconym literaturze polskiej okresu 1918—1944. Ten rzadki radziecki głos o Czechowiczu przyszedł bez skrótów i w dosłownym tłumaczeniu: Daleko od konowito „Awangard”, odeszła tużżesz tzn. „Drugiej Awangardy”.

gardy”, łączącej w latach 20-tych dwie grupy poetów: lubelską i uleńską. Najbardziej talentowanym poetą grupy lubelskiej był Józef Czechowicz (1903—1939), który odrzucił konstruktivistyczne zasady „Pierwszej Awangardy” i jej skłonności do zachwytu motywami urbanistycznymi. Twórczość Czechowicza, który wydał kilka zbiorów wierszy („Kamień” 1927, „dzień jak codzień” 1930, „ballada z tamtej strony” 1932, „o błąkaczu” 1934, „nie wleczę” 1935, „nuta człowiecza” 1939) rozwinęła się od formalnych eksperymentów, od poszukiwań w duchu awangardyzmu ku coraz silniejszemu widzeniu świata, ku poetyce uciążliwej i bardziej wyrażającej. Wzorem poetów „Zwrotnicy” Czechowicz odległ się od liryki bezpośredniej i, utwarzając za główne zadanie poezji przetożenie języka uczuć na język obrazów, szeroko posługiwał się faktami środowiska awangardowej poezji jak rozwinęta metafora i ślasy. Intelektualnej konstrukcji, logicznej i racjonalistycznej struktury, grywalności i antymotywacji uwarzał krakowskich „awangardystów” przeciwstawiając Czechowiczowi harmonijne połączenie poetyckich obrazów, rytmiki i melodyjności uwarza, co uwytylował określony nastrój liryczny jego poezji. Ze szczególnym umiłowaniem odzwiercał Czechowicz atmosferę polskiej prowincji: wsi, cichych małych miasteczek. Niezwykle plastyczny i liryczny zarazem jest polski pejzaż w jego wierszach. W poezji Czechowicza, szczególnie pod koniec lat 20-tych, wyraźnie wystąpiło przeżycie upadku starego porządku świata, co znalazło wyraz w nastrojach katastro-

fizmu, gorzocy i pesymizmu” (str. 217—218).

O osiągnięciach Czechowicza jako tłumacza poezji rosyjskiej autor nie wspomina, chociaż przy innych poetach zawsze chętnie podkreśla ich zainteresowanie poezją rosyjską.

Jan Orłowski

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOŚTĄTNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŚKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — Alleja KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Al. Raclawickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35. Telefon: sekretariat i naczelny redaktor 233-93, sekretarz redakcji i dział biblioteczny 233-33.

Korespondencje zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — pod adresem redakcji.

L.G.Graf. Zam. 227. 28.1.79. 8.000 Z-3

PRELEGENCI

BYLEM niedawno w jednej z tzw. zapadłych wsi powiatu lubartowskiego. Jako prelegent z ramienia Powiatowego Domu Kultury miałem mówić o dorobku Lubelszczyzny w okresie 25-lecia. Temat jak rzeka — można mówić i 5 minut i 3 godziny. Zależy nie tylko od mnie, ale i od tego, kto będzie na sali: przeprowadza przez nauczycielkę młodzież szkolna, członkowie ZMW lub kółka rolnicze czy ludzie przypadkowi, zabijający nade szimowego wieczoru w Klubie Rolnika. Wobec tego trzeba w ostatniej chwili zdecydować, o czym mówić krótko, o czym dłużej, co tylko zamarkować, co przepisać ciekawostkami.

Nasza „Nysa” nie bez trudu przebiła się przez zasy. Inni prelegenci wraz z towarzyszącymi im pracownikami PDK kolejno wysiadają w różnych wsiach. Wreszcie jestem w „swolim” Spiczynie. Pierwsza, duża sala klubu, ciemna, zimna i pusta. W drugiej przy matce la-dzie dziwna dziewczyna, w rogach dwóch uśmiechniętych warcaby. Radio cichy, telewizora brak — zresztą nikt go we wsi nie posiada.

Dziewczyna, czyli kierowniczka klubu, pokazuje list z PDK, że prelekcja miała odbyć się poprzedniego wieczoru. Obie sale były pełne. Ludzie najpierw cierpliwie czekali przez dwie godziny, potem zaczęli złościć na trochę mityczny „powiat”. Rzeczywiście maszynistka w Lubartowie (tylko na tym jednym liście zrobiła błąd, którego w PDK nikt nie zauważył i stąd teraz całe zamieszanie. No i wczorajsze pretensje ludzi. Ale co robić dzisiaj?

Chłopcy odkładają warcaby i powiadają, że pobiegną zawiadomić najbliż-

szę chałupy, i rzeczywiście, po kilku minutach zjawiają się pierwsi słuchacze, potem następni i następni. Wkrótce mała, ale ciepła salka staje się zbyt ciasna, coraz więcej osób siada w tej drugiej, zimnej, słuchając przez otwarte drzwi.

Ponieważ większość obecnych to do-rośli, mówię najpierw o sprawach im najbliższych — rolnictwie, potem przetrzymując rzecz ciekawostkami, o przemysle, wreszcie o wspaniałym rozwoju oświaty. Zamiast regulaminowych 45 minut wszystko trwa prawie trzy godziny, gdy wracając już z kącika tradycyj „Nysa” daje niecierpliwie sygnały.

Wracamy, zbierając kolejno innych prelegentów. Już są wszyscy, wrócić wjeżdżamy na główną drogę. Jeszcze ostatnia wieść, tu dziś nie się nie dzieje. Właśnie patrzę na licznik — 40 km/godz. Reflektor oświetla z tyłu trzech młodych ludzi, idących w tym samym kierunku. Kierowca daje sygnał światłem, potem dzwieniem. Usuwają się zgodnie na lewo pobocze. Gdy jesteśmy 2-3 m za nimi, jeden z idących jakimiś na pół tanecznym krokiem wybiega przed samochód. Kierowca przyciska hamulec do deski, siedząca obok niego koleżanka zasłania oczy i krzyczy, pasażerowie uderzają nosami w oparcia foteli przed nimi. Ja razem z siedzeniem bocznego miejsca lecę do przodu i ląduję na podłodze.

I w tej chwili głuchy trzask o maskę samochodu. Wszyscy wiemy, co to znaczy. Czy jeszcze żyje? Kolega pomaga mi wstać, wyskakujemy — zglądając pod samochód. Nikogo nie ma. Obok stoją trzej młodzieńcy. Jeden z nich ma pokrwawioną twarz, płaszczyznie, rozbiegane, pół przytomne czy. Blyskawicznie ładujemy wszystkich do

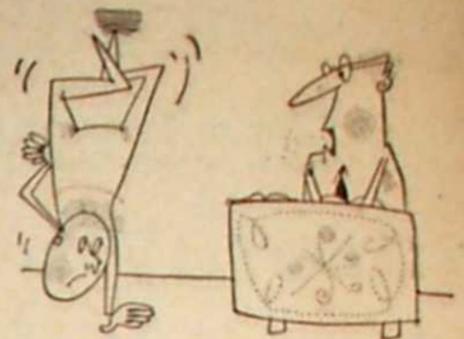
środką i pedimy do pogotowia w Lubartowie. Po drodze orientujemy się, że ten jeden z trzech młodzieńców jest nie tylko ranny, ale i kompletnie pijany. Potem w szpitalu lekarz zapisze pierwsze stwierdzenie: stan upojenia alkoholowego. Późniejsze badania i prześwietlenia, na szczęście, nie wykazały żadnych poważniejszych obrażeń. Młody człowiek po trzech dniach znów wsiadł na swój traktor. Na jeszcze potwierdził się przysłowie o czuwalu nad pijakami.

Można powiedzieć tak: gdybyśmy nie jechali z prelekcjami, nie byłoby wypadku. Ale można i odwrotnie: gdybyśmy nie byli z prelekcjami w 6 wsiach, w każdej z nich mogłoby dojść do takiej czy innej, może jeszcze gorszej tragedii.

Oczywiście — ani jedna, ani dziesięć prelekcji nie zrobia z ludzi aniołów. Ale wśród wielu innych czynników wychowawczych to właśnie prelekcje, zorganizowane przez PDK czy TWP lub wiele innych organizacji, uniwersytety ludowe, szkoły zdrowia, kluby Ruchu i Rolnika, to coraz liczniejsze zespoły — wszystko składa się na to, że jednak tych przestępstw jest coraz mniej, że podnosi się ogólny poziom kultury, obyczajów, kontaktów międzyludzkich.

Myślę więc, że wkrótce teraz należy złożyć podziękowania i uznanie tym setkom, może nawet tysiącom ludzi, którzy mimo mrozów, gołobłędzi i zimy, mimo niezwykle trudnych warunków dojazdu i powrotu, mimo wielu innych przeciwności — docierają z dobrym, politycznym słowem czy obrazem do innych.

DOST



— No dobrze, już dobrze, dostaniecie kolego tę czworkę z frykły.



— Wziąłem trochę zadań do poprawy do domu, Helenko.



— No i co mi z tego, że zostaniesz panią magister!

Rys. L. Szalecki

BIG-BEAT

Anonimowy bohater

PANIE Redaktorze! „Sublokator uratował życie staruszcze i schwytał niedoszłego zabójcę” — przeczytałem tytuł w „Kurierze Lubelskim” z 28 ub. m. Informacja głosiła, że tego wieczoru Jerzy K. wczesniej położył się do łóżka. Spali także właściciele willi: Stefania K. i jej małżonek, u których Jerzy K. — uczeń jednego z lubelskich techników — od trzech lat mieszkał na stacji. Nagle ciższą uśpionego domku przerwał

zduszony krzyk, który wyrwał ze snu młodego sublokatora. Jerzy K. bez namysłu wyskoczył z łóżka, wszedł do pokoju zamkowego przez staruszkę i zapalił światło. Na łóżeczku siedział jakiś młody mężczyzna i trzymał niewiastę obracając za gardło. Jerzy K. jednym susem znalazł się obok napastnika, chwycił go za kark i osadził na krześle. Po kilku minutach Stefania K. ocknęła się, spojrzała na swojego niedoszłego zabójcę i wyszeptła zdumiona: — A więc to Józef Guz! To ty?

Skróciłem co nieco doniesienia reportera lubelskiej popołudniówki, który zresztą bardzo sugestywnie oddaje wrażenia tego wieczoru, z czego wniosek, że gdybyśmy teraz wznowili „Tajnego detektywa” pismo to zdolowałoby zdobyć odpowiednio pióra do współpracy. Nijak nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego autor notki nie zamieścił nazwiska bohatera uczył? Obawiał się, że w szkole mogą Jerzemu K. obniżyć notę z zachowania? I co to znaczy „tego wieczoru”?

W tym samym numerze „Kurier” znalazłem inna wiadomość, która wyołowała we mnie sprzeczną uczucia. Oto Komenda Hufca ZHP w porozumieniu z dyrektorem Oddziału PKS w Hrubieszowie

podjęła akcję stałej opieki nad przystankami na terenie powiatu. W ramach akcji harcerze rortoczą opiekę nad przystankami w swoich miejscowościach, utrzymują je w należytym czystości, zastrzegają się o ich najbliższe otoczenie, a także będą utrzymywać stały kontakt z miejscowym Oddziałem PKS powiadając o dewastacji przystanku, zdej-mowaniu tablic z rozkładami jazdy, wybijaniu szyb, niszczeniu znaków drogowych itp. Wykroczeniach, którym sami harcerze nie będą w stanie zapobiec. W ramach akcji wiele drużyn ustaliło już plany dyżurów poszczególnych zastępów nad przystankami.

Przed oczyma mam taki obrazek: 20-stopniowy mróz, hula śnieżna zadymka, człowieka kijem na dwór nie wypędzisz, a tu na przystanku PKS trzymają wartę trzej młodzi ludzie przypominający bardziej złodowiacie sobie niż harcerzy. Autobusy PKS-u oczywiście nie kursują, ponieważ drogi są zawiane.

Obrazek, oczywiście, skrajny, ale Panie Redaktorze, nie dajmy się zwariować! Rozumiem, gdy harcerze dokarmiają w zimie zwierzęta leśna. Bardzo cieszę się fakty, o których też donosi „Kurier”, że np. 113 drużyna harcer-

ska im. K. Swierczewskiego w Maszynie rozkupuje pożywienie na pola i w lesie, że drużyna ze Sławatycz zrobiła 23 karmników i postawiła pałnik z siano dla zajęcy, że drużyna harcerska nr 54, 55, 56 i 112 ze szkoły nr 6 w Chelmie zorganizowały wyprawę do pobliskiego lasu, gdzie m. in. ustawiły szafy dla kuropat. To są prace i polityczne i humanitarne. Ale co przyniosła konkretnego dyżury nad przystankami, czy raczej — brami to bardziej po polsku — na przystankach? Mogą przynieść grype, zapalenie płuc, koklusz, anginę. I ewent. pobicie przez chuligana, który poza wybieleniem szyb może również wybić kilka zębów młodych „wartowników”.

Dziwię się, że dyrekcja Oddziału PKS w Hrubieszowie zgodziła się na podjęcie takiej akcji przez harcerzy i przynależało nawet nagrody dla wyróżniających się drużyn. Zabrakło tu komuś rozsądku nawet za trzy grosze.

Sciskam dłoń Pana Redaktora. Moja dłoń złodowaciła przy pisaniu tego felietonu. Rozgrzeję się na przystanku MPK. Może harcerze i nad nimi przejęli opiekę? Może rozpalili nawet ognisko?

Jacek

MINUTA MYŚLENIA

Chuligan zapłaci?

JEDEN z czytelników „Polityki” zaproponował w liście do redakcji aby walczący z chuliganstwem obywatel PRL otrzymywał na ten czas prawa MO, a w związku z tym:

a) poniesione koszty materialne przez interweniującego w zajściu przeciw chuliganom — były w krótkim terminie przez państwo zwracane. Zwrot kosztów ponie-

sionych przez państwo pokrywa chuligan z zarobków wieziennych, w obozach pracy lub z zarobków otrzymywanych na wolności.

b) szkody zdrowotne, koszty leczenia, odszkodowanie za ból itd. zwraca państwo — obciążając nimi chuligana.

c) w przypadku interwencji i uniemożliwienia skutków czynu chuligańskiego interweniującym obywatelom przyznawać nagrody z funduszy społecznych (np. z Toto-Lotka, loterii państwowych lub innych funduszy, na które społeczeństwo nasze chętnie wyłoży pieniądze).

Projekt jest piękny, ale utopijny i dlatego utopi się go, jak wiele podobnych. Nie sposób ściągać alimentów do tysięcy (dziesiątków tysięcy) tatusiów, którzy latami swobodnie basają na wolności, a uda się wyłudzić pieniądze od chuligana, który bardzo często nigdzie nie pracuje? Gdyby projekt wprowadzić w życie i gdyby automatycznie wzrosła liczba obywateli PRL, którzy czynnie przyczynili się do zwalczania chuliganstwa, państwo musiałoby natychmiast zwiększyć swój budżet i po roku chyba ogłosić kompletne bankructwo. Bo w końcu i sami chuligani zaczęliby występować o odszkodowanie. Zwłaszcza, że rzecz mogłaby

się dzieć w obliczu dwóch poszkodowanych, tzn. tego, który został przez chuligana napadnięty i tego, który napadniętemu pomógł z odsieczą. Ofiara chuligańskiego wybruku siedziałaby w sądzie cicho jak mysz kościelna, obawiając się, by jej jeszcze raz nie sprawiono kłopotów, a ewentualny zaś adwokat oskarżonego tak by sprawą pokierował, że ten, który bił, wyszedłby w glorię i chwale, natomiast dzielny obrońca miałby na całe życie lekcie. Że nigdy nie należy się mieszać do osobistych „porachunków” dwóch rodaków.

Gdy się kilku mężczyzn pierze, rzadko kiedy można wymierzyć sprawiedliwość. Świadków zwykle nie ma, bo nawet jeśli są, wola się nie ujawniać. Z milicja zaś bywa różnie. Broni Panie Boże! Nie występuje przeciwko ludziom w stalowych mundurach. Rzecz jednak w tym, że chuligan bije zazwyczaj w ciemnej ulicy i bardzo nie lubi, jeśli jego „pracy” przygląda się funkcjonariusz MO.

W biały zaś dzień chuligana od porządnego obywatela PRL nikt nie odróżni. Znam zaroińskiego obszarpanca, który jest podpora lubelskiej reporterkę i nawet muchy nie zabije, z drugiej zaś strony mam ciagle przed oczyma eleganckiego chłopca, który zwał przed sądem za zabójstwo matki i ojca i któremu Wysoki

Trybunał umożliwił szybkie połączenie się z rodzicami. Ow chłopc, dodam gwoli uczciwości, też nie był jednak chuliganem, cieszył się nawet niezłą opinią. A więc nie tylko z chuliganów rodzą się ojco- i matkobójcy.

Chuligani najczęściej zresztą matki czy ojca nie muszą nawet kutakiem, w stosunku do swoich kumpłi potrafią być jak najbardziej fair. Dzielnie nie lubią jednak nieznajomych, zwłaszcza, gdy ci są od nich ciut, ciut słabsi.

Owszem, nagradzalbym obywateli PRL walczących z chuliganstwem. Ale nie materialnie. Pochwalami w gazecie. Odnaczenia-mi. (Może ustanowimy medal „Za walkę z chuliganstwem”? Uścielkiem dni komendanta (wojewódzkiego, miejskiego, gromadzkiego) MO. Kwiatami. Byłaby to dla nich moralna rekompensata za ewentualne szkody. No bo na ile można oczekować wybity zab? Na 100 zł? Na 500 zł? Interweniujący musi być z góry przygotowany na taką możliwość. I z góry nie liczyć na odszkodowanie.

Zanim jednak poradzimy sobie ze starymi chuliganami, nie pozwólmy, aby roddził się nowi. Tutaj jest wielkie pole do popisu dla każdego. Ale to już osobny temat.

KIER

Odpowiedzi redakcji

W. S. w Białymstoku. Radzimy przede wszystkim zrezygnować z pisania tych pozornie skomplikowanych, „głębokich” wierszy tzw. nowoczesnych. Wszelako bystrość obserwacji i szczerze zapamiętane zawarte w jednym z tekstów skłania nas do propozycji, by Pan na podstawie osobistych doświadczeń opisał prozą, co ci ludzie robią w tych mieszkaniach, co ci ludzie w zanadru przeciw sobie noszą? Nie żartujemy — to istotnie może być ciekawe w Pańskim ujęciu — jak nieśmiało przypuszczamy.

T. S. w Raelborzu. We wczesnych wierszach znać ślady lektur szkolnych, choćby Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Późniejsze, „nowoczesne” utwory zdradzają pewną wrażliwość poetycką — jednak jeszcze w powijakach, nieśmiała, opakowaną częstokroć w banal. Mimo tego warto próbować dalej, szukając wpiers kontaktów z innymi piszącymi studentami z Pani otoczenia — powinniście dyskutować o poezji, czytać swoje teksty we własnym gronie, próbować wieczorów literackich, może z czasem coś się z tego wykluje, godnego publikacji. Choć nie gwarantujemy, oczywiście, bo co tu można gwarantować?

J.K.M.W. (1) w Lublinie. Poeszja, bardziej niż proza, domaga się autorskiej wiedzy o tym, co w tej dziedzinie uprzednio powstało. Poezję, bardziej niż prozę, czyta się niejako na tle dotychczasowego dorobku innych autorów. Naszym zdaniem — Pańska znajomość kontekstu literackiego jest niedostateczna, a przede wszystkim zbyt opóźniona. A że talentem absolutnie samorodnym Pan nie jest, więc resztę prosimy sobie samemu dopowiedzieć.

S. U. w Lublinie. I my, niestety, obawiamy się, że to strata czasu także pisanie. Lepiej zająć się czymś innym. Nie każ-

dy musi być pisarzem, byleby tylko był porządnym człowiekiem, zresztą — na dobrą sprawę — nie tak znowu wielu ludzi w naszym kraju serdecznie interesuje się literaturą, i żyją całkiem przyzwoicie. Mało więc Pan straci, rezygnując z pomnażania bytów literackich. Czytać dużo — ot, co Panu doradzamy.

„Wasza — tj nasza — Czytelniczka” (M. Z.) w Krakowie. „Twoje oczy, tak się ich boję/ wpajasz się nimi w moją duszę/ a mną wstrząsają niepokoje/ że się dziś z nimi rozstać muszę.” Publikujemy w nadziei, że chłopak przeczyta, zrozumie, skróci czas rozstania, powróci, pocieszy... Na podstawie całego tekstu sądzimy, że jesteś śmiertelnie zakochana, ale to przecie nie największe spośród niemiędzkiej nekających człowieka. Bywają gorsze, na przykład, gdy się człowiek już odkochał, a jeszcze się nie zakochał po raz wtóry.

K. K. w Strzaskowicach. Masz przed sobą około dwu lat pisanie, które w niczym na razie nie odbiega od przeciętnej normy młodzieńczego wierszotwórstwa. Słowo dajemy, że zjawisko „samo” miła z czasem. Jeśli nie minie, wtedy warto zasiegnąć kompetentnej opinii: co dalej?

W. L. w Targowiskach. Ze wszystkimi szlachetnymi ideami, zawartymi w Pańskich tekstach, zgadzamy się w zupełności. Patriotyzm, lojalność ideowa, ukochanie najbliższych, w ogóle humanitaryzm — bardzo dobrze. Nie zgadzamy się natomiast z poetycką formułą, jaką Pan nadaje tym szlachetnym ideom. I na tym sprawa się wyzeruje. Odpowiedź tę dedykujemy zresztą wielu innym autorom. Stanowczo bowiem bardziej wolimy dobrze namalowaną głowę kapusty od źle namalowanej postaci świętego.

J. Z. L. w Świdnicy, R. S. w Lublinie, M. J. w Łodzi, T. B. w Żainie — nie skorzystamy.

NOTY i notki

Felietonista KTT staje się od czasu do czasu publicystą. Krzysztofem Teodorem Toeplitzem i wtedy rodzi się takie artykuły jak „Indywidualność” („Kultura” nr 5) — niemal od góry do dołu dyskusyjny, a w wielu miejscach niezgodny z prawdą. Najpierw więc czytamy, że de Gaulle m. in. bez zmiany przepisów konstytucyjnych wycałował tak silnie pietno na tyłciu Francji. To nie jest prawda, bo właśnie zmienił — tylko KTT zajmował się wtedy telewizyjnym słownikiem wyrazów obcych. Było nawet na ten temat referendum. W innym miejscu autor twierdzi, że zna rocznik uczniów w szkole artystycznej. Dobry nawet w polowie według „kryteriów biograficznych” i że losy tej polowy „były niekiedy wręcz tragiczne”. Pod tym eufemizmem ukrywa się przecież całkiem jasna myśl, że kandydatami na aktorów powinny być tylko dzieci inteligentów. Komentarz zbędny.

Miesięcznik „Teatr” (nr 1) zamieścił rozmowę z pewnym bardzo znanym aktorem, który mówił niezwykle mądre rzeczy o marzeniach artystycznych i o teatrze, jakim on być powinien. Wypowiedź opatrzono „głową” fotograficzną, na której aktor wyglądał jak młodzieniec w wieku najwyżej 23 lat. W treści zaś jest passus o jego 22-letniej pracy zawodowej, już po ukończeniu szkoły aktorskiej. Można by na podstawie tego suponować, że do szkoły aktorskiej zaczął chodzić zanim się urodził, a do powszechnika — zanim został poczęty.

Jak podała prasa warszawska teatry stołeczne dały w ub. roku łącznie 3975 spektakli, które obejrzało 1.339.847 widzów z czego wynika, że na jednym spektaklu było przeciętnie 34 widzów. Aż wstyd dopisać, że w lubelskim teatrze dramatycznym często-gęsto nie ma nawet dziesiątej części tej ilości. Tylko — kto wreszcie da świadectwo prawdziwe: teatr winien czy widzowie?

Coraz bardziej penurę stają się trw. kąciki humoru w różnych pismach. Oto np. „dowcip” z rubryki „Uśmiechnij się” w nr 4 tygodnika „Wiraz”: „Jak się miewa twój ałonra lunatyczka? — Ona już nie jest lunatyczką. — Co, wyleczyła się? — Nie, spada...” Ha-ha-ha, a moja babcia umarła... A oto próbka meteorologiczno-finansowa: „Iraszki” z „kącika humoru i satyry” w tygodniku „Głos Nauczycielski” (nr 5): „Idzie nł, idzie nł, Lecz w portfelu pewnie tyż”. No a gdzie się podziało — a kysz?

Niedzielne wiadomości sportowe w telewizji stają się coraz dłuższe, co niewątpliwie cieszy kibiców. Ale równocześnie ucą ich coraz bardziej wymyślnych skzaradzeństw językowych. Jetteli nawet machniemy ręką na nieśmiertelne „za wyjątkiem”. Oto zaledwie dwa przykładowe skzaradzeństwa z 23 stycznia: polski zawodnik Polak Bachleda... w tym roku jak co roku...

Ludziom normalnym wydaje się, że najpierw trzeba dokonać czegoś bardzo wybitnego, a potem przeczytać o sobie w encyklopedii. Ale bywa i odwrotnie. Oto Michał Rusinek przypublikował w „Trybunie Ludu” (nr 21), że jeszcze nie napisał ani jednej książki dla młodzieży, a już w reszty roku w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN zrobiono go autorem takich książek (w liczbie mnogiej). Więc teraz opracowuje zarys takiej powieści. Mam nadzieję, że okaże się to łatwiejsze, niż wprowadzenie poprawki do encyklopedii.

W niedzielnym felietonie („Życie Warszawy”, nr 27) Władysław Kopaliński znów podjął wiecznie aktualny problem pisania różnych słów dużą lub małą literą. I na koniec nie wzdycha pocieszając: „niak w Polsce, prócz korektorów, nie umie poprawnie pisać”. Skąd ten optymizm? Czyżby Kopaliński nie czytał naszej prasy?

(JOD)

„Kurier Lubelski” z 26.11 stycznia wydrukował następujące sprostowanie: „W informacji o sianieniu samochodów z PKO wkradła się przykra omyłka. Zamiast numeru wydawanego książeczki UO 32188 powinno być 32188”. Posiadacze książeczki UO 32188 nawet nie przeproszono. A jeżeli już głazy uradzi w „Europie” bankiet, czy redakcja wieści rachunek? Ponadto życzę, że żadnych samochodów z PKO nie ciągnie!

(m)

„Żywelek Literacki” wytyka pomyłki w przypisach do „Książki humoru polskiego”. Autor notki wspomina się też o autorów pominiętych, m. in. o Władysław Grzybowski. Czyżby chodziło o Władysław Grzybowski? W innej notce „Żywelek” zwraca „Gazecie Krakowskiej”, że pisze o wydawnictwach Zuckerkandla i wysuwa domysł, że pewnie chodzi o Wilhelma Zuckerkandla ze Złoczowa. A jednak tertium datat, wydawca bowiem nazywał się Zuckerkandl.

(tk)